Nr. 15. Lwów, Niedziela dnia 9. Grudnia 1877 r. **Tom VI.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni T. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

DZIAŁALNOŚĆ NIEWIASTY POLSKIEJ.

Czem jest niewiasta w społeczeństwie?

Na to proste zagadnienie najrozmaitszą bym odebrał odpowiedź: powiedziano by, iż niewiasta jest ozdobą społeczeństwa, jest kwiatkiem eterycznym, nadającym niewymowny wdzięk w życiu domowem, jest głównym motorem, regulującym stosunki towarzyskie, jest w końcu najgłówniejszą orędowniczką ogłady, delikatności i poloru światowego.

Takąbym odebrał odpowiedź, w części słuszną, lecz ona by się tyczyła niewiasty próżnej, czczej, której życiem byłby salon, potrzebą strój, dążnością zabawa, miłością żądza oklasków, cnotą zalotność. Taka niewiasta niewątpliwie odpowiedziałaby powyższemu określeniu, skupiła by bowiem w sobie wszystkie warunki wymagane w powierzchownem życiu świata.

Jednak zajrzawszy gruntowniej w tę kwestyą, inaczej zupełnie ona się nam przedstawia. Niewiastę znajdujemy nietylko ozdobą salonów i czczego towarzystwa, lecz spotykamy ją na stanowisku nieskończenie wyższem, ozdobioną aureolą miłości i serca, znajdujemy ją ozdobą i dźwignią rodziny.

Rodziny!... cóż to za wyraz potężny; łączy on w sobie związek i rozwój narodu, dźwignię i potęgę ludzkości. Dzieje pojedyńczych rodzin do statecznie nas uczą dziejów narodu, do którego te rodziny należą; z narodów bowiem składa się ludzkość, z rodzin naród, z jednostek rodzina, czem się jednostka nauczy być w rodzinie, tem ona na zawsze pozostanie w narodzie, losy zatem narodów najzupełniej zależne są od rozwoju rodzin.

Gospodarzami rodziny są mężczyzna i kobieta, ojciec i matka; pierwszy rządzi rodziną rozumem, druga sercem, a że rozum nie zawsze jest zrozumiałym dla młodocianych umysłów dzieci, przeto w pierwszych latach istnienia człowieka serce główny wpływ wywiera. Niewiasta zatem w rodzinie jest osobą pierwszej wagi, od niej wypływa albo światłość na młode duszy kształcących się członków narodu, albo ciemność zalegająca pruchnem w pustych piersiach nieogrzanych miłością matczyną.

Któż może zaprzeczyć, że wpływ niewiasty w rodzinie jest ogromny, prawie stanowczy; ona rozwija pierwsze myśli w dziecięciu, ona rozbudza cnotę, uczciwość, prawość, szlachetność, lub wbrew przeciwne uczucia, ona kieruje pierwszemi krokami człowieka na świecie, ona w rodzinie wszystkiem, dobre i złe wyłącznie od niej wypływa.

Tak wysokie stanowisko w rodzinie zdolne jest zaspokoić najdumniejszy umysł, najwygórowańsze życzenie, najwyższe ambicye. Cóż bardziej może podnieść dumę niewieścią, jeżeli nie myśl, że pod jej kierunkiem, pod jej wpływem wychowują się jednostki mogące zostać chlubą narodu, że dobre wychowanie tych pojedyńczych jednostek stanowi potęgę i dźwignię narodu; jakżeż niskie, jak płaskie wobec tych wzniosłym celów są tryumfy zbierane w wirze światowych, od znikczemniałych wycieraczy parkietów salonowych.

Wysokie stanowisko kobiety oddawna zostało uznanem przez wszystkie cywilizowane narody, od dawna zauważono, iż upadek kobiety, poniżenie moralnej jej godności, zazwyczaj poprzedza upadek społeczeństwa. Tak było w starożytności, tak jest i dzisiaj.

Ale jeżeli stanowisko niewiasty jest tak wielkie w każdym choćby najpotężniejszym narodzie, to bezporównania i ono jest wyższem i świętszem w narodzie upadłym i poniżonym.

Każdy naród upadły musiał ulegać pewnym zdrożnościom, które poniżyły go do nicestwa; nadzieję odrodzenia swego może tylko czerpać w wychowaniu nowego pokolenia, w którem by zostały usunięte te zboczenia, te wady, te nałogi co niegdyś sprowadziły jego upadek. Nowe pokolenie, wzrastając w nowych zdrowszych zasadach, zdolnem jest tylko wywrzeć korzystny wpływ na pomyślność znękanej ojczyzny. Te gruntowniejsze zasady, aby się stały naturą człowieka, powinny być wszczepione w pierwszych latach jego życia, nauka bowiem wychowania stanęła na tym punkcie doświadczenia — iż wychowanie powinno się rozpoczynać od pieluch jeszcze, że pierwsze lata dzieciństwa są podstawą przyszłego charakteru człowieka; a w tych latach, któż największy wywiera wpływ jeżeli nie niewiasta, ona bowiem działa sercem i miłością, jednemi uczuciami pojmowanemi przez dziecko, działając w ten sposób, przyzwyczaja dziecko do dobrego lub złego, stosownie do dążności niewiasty, uczucia szczepione wówczas stają się nałogiem, bo umysł dziecka to wosk roztopiony, na którym się odciśnie ta każda pieczęć i pozostanie na zawsze.

Od niewiaty zatem jest zależne pierwiastkowe wychowanie młodego pokolenia, a tem samem zależna jest przyszłość narodu.

Do was więc przemawiam niewiasto, matko, obywatelko! do was coście zdolne podnieść upadłego ducha, zaszczepić zasady narodowe w dzieciach swoich, przeznaczeniem których być może będzie zająć przeważne miejsce w narodzie. Jeżeli jeszcze pałacie miłością dla kraju, jeżeli jęk nad Niemnem i Dnieprem jest dla was również okropnym, jak najbliższe nieszczęście was dotykające, jeżeli się nie zasklepiacie w kółku swej parafii, lecz myślą ogarniacie całą ojczyznę od granic do granic, jeżeli duch polskości bije w was wszystkimi pulsami narodowego życia, to słowa prawdy nie padną na nieurodzajną glebę, lecz urosną w sercach waszych, wydając obfite plony dla kraju naszego.

O, bo w nim źle się dzieje. Spojrzcie po całym jego obszarze, cóż za okropny widok przedstawi się oczom waszym, nigdzie pociechy wszędzie łzy, jęki, wszędzie ucisk i przemoc tyranów naszych, nigdzie i nigdzie nadziei. Tam na wschodzie wyciskają z ziemi ojców naszych Moskale, na zachodzie Niemcy, u was w Galicyi Żydzi. Co rok część kraju przechodzi w ręce obcych, a my bezwładnie patrzymy na to, niemal że obojętnie — przykładamy sami rękę do tego, patrzymy, jak ziemia usuwa się z pod stóp naszych, jak zostaniemy bez tła, bez gruntu, na którymby swobodnie rozwijała się nasza narodowość. Zostaniemy, być może, na ziemi naszych przodków, ale sługami u obcych.

Cóż jest powodem tego zła, niszczącego nasz organizm, zkąd pochodzi to zobojętnienie, ten brak poczucia życia narodowego, czem się będziemy uniewinniać wobec następnych pokoleń; czy okolicznościami? Lecz to nie posłuży za wymówkę, czy tyraństwem wrogów? I to niedostatecznie nas wytłumaczy. Gdzież będziemy szukać źródła klęsk naszych narodowych. Próżne starania, wszystko cobyśmy przytoczyli na naszą obronę — będzie niczem wobec prawdy — powiedzmy otwarcie, źródło naszych nieszczęść spoczywa *w nas samych.*

Wróg tylko bezsumiennie korzysta z naszych nawyknień i nałogów, umiejętnie umie z nami postępować, zastawia sieci swoich intryg, w które my najdobrowolniej wpadamy, z pełną świadomością złego. Któż bowiem nam każe żyć nad możność, tak przesadnie się stroić, rozwozić swe słabości za granicę, świecąc tam ubóstwem swem moralnem; kto każe trwonić tysiące na gałgany, zabawy i bezużyteczne graty, żyć bez pracy, bez przemysłu, bez handlu, bez rękodzielń, bez postępowego gospodarstwa. Kto nam każe uganiać się za pozorami i wypleniać z serc swoich rozwagę, ostrożność, przezorność i grunt narodowy? Czy wróg nas do tego zmusza? o nie, do tego doprowadzają nas własne nawyknienia i nałogi.

Zkądże powstają te nałogi przynoszące nam tyle złego, tyle nieszczęść i poniżeń? Czyż nie z zaniedbanego i z spaczonego wychowania? Dziecko polskie od pieluch uczy się żyć pozorami, żyć nad możność, przeżywać a nie produkować, uczy się lenistwa a nie pracy, układu bez gruntu duszy, salonowego poloru, a niepoznania obowiązków życia, nauk, a nie zrozumienia ważności i praktyczności tychże. Dziecko przeszedłszy taką szkołę, wychodzi na człowieka nieraz odgrywającego ważną rolę w społeczeństwie, pełnego wiadomości naukowych, służących mu jedynie do językowych szermierek, pełnego ogłady i poloru światowego, a niewyrobionego i niewytrawionego charakteru, umiejącego filozofować o konieczności pracy, a nieumiejącego pracować. Taki człowiek, nawykły używać bez pracy, potrzeb ma wiele, a nie umie ich zaspokoić ani zapobiegliwością ani oszczędnością, musi trwonić swoją ojcowiznę, i wcześniej czy później, sam czy w dzieciach swoich zostać bankrutem, a mienie swe oddać pracowitszemu cudzoziemcowi. To są owoce naszego wychowania.

Dokąd prowadzi nas ta droga — łacno zrozumieć — prowadzi do ruiny i upadku narodu. Życie bez pracy zużywa nasze mienie, uczciwość, szlachetność, prawość, słowność; demoralizuje i zniża do materyalnego i moralnego nicestwa. Jest to konieczne i nieodzowne prawo. Kto żyje nad możność, obarcza się długami; te, nieopłacane, przyprowadzają człowieka do niesłowności i utraty majątku. Nieszczęśliwy, stanąwszy na tej śliskiej pochyłości, nie dostrzeże jak się znajdzie na dnie przepaści, straciwszy majątek, a często honor i cześć prawego człowieka, zrujnowawszy siebie i przyczyniając się do ruiny kraju. Suma bowiem czynności jednostek stanowi czynność narodu, jeżeli ta suma wypada z minusem, naród chwieje się w swem istnieniu i upada, gdy ten złowrogi minus zbyt długo znajduje się w życiu narodowem.

Jeżeli jednak nie wygasł w nas zmysł samoistności, właściwy każdemu organizmowi, to przy zrozumieniu złego musi powstać koniecznie chęć i dążność do poprawy, do ocalenia życia narodu, poprawa zaś ta jest możliwa tylko przez wychowanie.

„Gdy chcesz odrodzić społeczeństwo, rzuć nowe zasady w wychowaniu, w młodych sercach, one się przyjmą, z latami wzrosną, spotężnieją, staną się samodzielnemi i odrodzą naród.“ Tak twierdzą najwięksi myśliciele w pedagogice i twierdzenie ich jest najzupełniej prawdziwem.

Ale któż najłatwiej może przelać w serce dziecka te zdrowe zasady jeżeli — jeżeli nie najmilsza dla niego osoba, jeżeli nie matka — niewiasta.

Oto pole działalności niewieściej, pole szczytne, rozumne, wielkie, nieogarnięte; pole, na którem wszystkie władze umysłu mogą być zużytkowane, i rozum i serce i nauka i wrodzona tkliwość niewieścia, i praktyka życia, wszystko to się okaże potrzebnem i koniecznem w wychowaniu swojego potomstwa.

O matko - Polko - Obywatelko! Czyż ten obraz, który niezdarnem piórem ci przedstawiłem, ten obraz nędzy naszej bez granic, obraz naszego upodlenia, smutnej przyszłości, nie wzruszy i nie przerazi serca twego, a czyż uśmiechająca się nadzieja odrodzenia naszego, nadzieja spoczywająca wyłącznie prawie w ręku twojem, nie przejmie cię pewnym rodzajem wspaniałej dumy, i nie zachęci szukać swej chluby nie za granicą, nie na zabawach wśród próżnych oklasków, lecz w kółku rodzinnem, lecz w rozwijaniu umysłów swych dziatek i w przygotowaniu ich do lepszej i gruntowniejszej znajomości życia.

A jeżeli słowa prawdy trafią do przekonania, jeżeli zastanowiwszy się nad niemi, uznacie je słusznemi i rzetelnemi, jeżeli ogarnie was niepokój na wspomnienie niepewnej narodowej przyszłości, nieopartej na żadnych gruntownych i stałych fundamentach, jeżeli zrobiwszy krótki przegląd spraw naszych domowych, uczujecie gorącą potrzebę poprawienia złego, to wówczas zabierajcie się do pracy gorliwej, cichej, mrówczej, a nie efektownej, głośnej, roztrąbionej w pustych frazesach, które najczęściej na tym dymie wyrazów się kończą. Niech dziecko wasze wychowuje się na człowieka, a nie na lalkę pokojową, przesądną, znarowioną wychowaniem, rozumiejącą życie tylko z użycia; wlejcie w dzieci swoje zasady ludzkie, człowiecze, nie wspierające się na przesądach kastowych, które duch czasu w tak okropny sposób prześladuje w narodach całych.

Zdrowe, jasne i czyste zasady, to jak zdrowa krew, ta odnawia siły organizmu, tamta wzmacnia i podtrzymuje siły ducha. Zdrowe zasady to podkowy dla konia, kto je posiada spotknie się, lecz nie upadnie. Wychowanie nie opiera się jak wielu mniema na naukach, na nabraniu rozmaitych wiadomości, to jest wykształcenie umysłu, lecz na przelaniu w ducha ludzkiego praktycznych zasad życia. Niech dziecko polskie uczy się być wpierw prostym pracownikiem niż dygnitarzem kraju, niech nauczy się wpierw posłuszeństwa, niż rozkazywania, niech wprzódy dozna niedostatku, zanim zacznie rozporządzać się ojcowizną, niech czuje godność człowieka i uszanuje ją w sobie i u obcych, niech kocha kraj swój, znając jego błędy, a kochając, niech spełnia swe obowiązki z gorliwością przywiązanego syna ojczyzny. Te zasady wlewaj, matko-Polko, w dzieci swoje, one ich ustrzegą od znikczemnienia moralnego, będą bodźcem do postępu i odrodzenia, one dźwigną je z nicości, wywyższając na stanowisko człowieczeństwa. Dziecko twoje zrozumie swe obowiązki, spełni je z poczuciem, że podnosząc w sobie moralność, podnosi sprawę narodu. A gdy powoli, przy waszych staraniach, ogół nasz coraz więcej będzie liczyć jednostek, u których jędrne narodowe zasady będą gruntem duszy; wówczas powiemy z dumą, że stanęliśmy na gruncie pewnym, i że błoga przyszłość do nas się uśmiecha.

Powtarzam raz jeszcze, że przyszłość nasza zależna jest od pozbycia się tych błędów, które dotychczas niepomiarkowanie wyniszczały materyalne i moralne zasoby naszej narodowości. Pozbycie się tych błędów jest możliwe przez zaszczepienie w ducha narodowego zdrowych zasad, zasady te zaś mogą być przelane w pierwiastkowe wychowanie. Pierwiastkowe zaś wychowanie najzupełniej jest zawisłe od niewiast. W ich więc rękach spoczywa przyszłość naszego narodu. Pamiętajcie na to!!!

Wilno.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Straciliśmy z oczów pana Nikodema Repeszkę, któryby może na szczególne zajęcie osobą swą nie zasługiwał, gdyby nie smutne przygody, jakich doznał od dnia nieszczęśliwego spotkania przy karczemce z kasztelanicem Iwonem. Dobrze to powiadają, że człowiek z miejsca, w którem żył, gdzie musię wiodło, nie powinien się ruszać, szukając łakomie gdzieindziej większego jeszcze powodzenia, najczęściej bowiem trafia na zawody i przekonywa się o tej prawdzie, że nie tyle sobie, co okolicznościom winien był to szczęście, które przypisywał tylko własnej zapobiegliwości i pracy.

Coś podobnego właśnie trafiło się szanownemu p. Nikodemowi Repeszce, który pomimo bardzo korzystnego nabycia Studzienicy, niezmiernie troskliwego gospodarstwa i nadzwyczajnej swej oszczędności, a raczej niesłychanego skąpstwa, mimo tej łagodności charakteru, którą się odznaczał... z ludźmi i światem nowym wcale sobie tak dobrze jak w Brzeskiem rady dać nie umiał. Tam mu szło wszystko jak z płatka, tu jak z kamienia. I choć zwykł był się pocieszać tem, że pierwsze kotki za płotki, że się to poprawić musi, wszakże tych drugich kotków napróżno wyczekiwał. W istocie mu się nie wiodło. P. Repeszko miał ten talent osobliwy, że się był zwykł, jak ślimak do drzewa, czepiać do jakiejś rodziny i majątku i żyć z nich i z niemi. Zwykle zawierał serdeczną przyjaźń, pomagał, służył, ratował, wygadzał, poświęcał się, stawał przyjacielem, doradzcą, a że takie poświęcenie zawsze los i Opatrzność (boć to na nią składają) wynagradzać sowicie zwykła, działo się tak jakoś zawsze, że owa rodzina i majątek padały, a zacny Repeszko, ratując się, mimo największych ofiar, wychodził cało i z korzyścią dla siebie. Nie było w tem nic dziwnego, gdyż wybierał zawsze przez litość tych, którym miał dopomagać, a że przeciw doli na-

wet Repeszko nie uratuje, przeznaczeni na zgubę mimo to ginęli, on zaś wychodził jakoś i szczęśliwie, i nie bez nagrody.

Tak było w początkach, póki się Studzienicy nie dorobił i w Lubelskie nie przeniósł; ale jak w grze kto opuści krzesło, na którem mu szła karta, przegrywa potem najczęściej, tak i p. Nikodem na nowej siedzibie samych tylko strat doznawał. Już to samo, że się nie dorabiał, liczyło się u niego za stratę i było nią, boć czas marnie uchodził; napróżno usiłował się zbliżyć do niektórych sąsiadów; wszędzie, jak w Mielsztyńcach, znajdował obojętność lub niewiarę, chociaż trudno to sobie było wytłumaczyć, znając zacnego Repeszkę, jego pobożność, cichość, skromność i łagodność. Natomiast, gdy on nie mógł się poprzyjaźnić skutecznie z nikim, do niego najniepotrzebniej przylgnął na utrapienie człowiek, którego się lękał niezmiernie i ze strachu ulegać mu był zmuszony; kasztelanic Jaksa, który od pierwszego spotkania i otrzymanego pozwolenia polowania w lasach, przywiązał się dziwną jakąś miłością do sąsiada.

Repeszko wcale nie miał ochoty ani nabywać od niego Rabsztyniec z grobami gotowych antenatów, ani wchodzić w jakiekolwiek interesa, ale Iwo, znalazłszy go dla siebie dogodnym i potulnym, już się z nim jakoś rozstać nie mógł. Nawiedzał go niemal codzień i kochał do zbytku.

Wielki znawca ludzi i słabości ludzkich, kasztelanic od pierwszego spotkania zbadał człowieka, odgadł charakter i domyślił się, że p. Nikodem nie należał do najodważniejszych istot na świecie. Z tej to skromności jego i łagodności Iwo widać korzystać postanowił, nie uszło i to baczności jego, że Repeszko, mimo wszelkich swych cnót, miał zbytnie może do grosza przywiązanie. Chociaż sąsiad bardzo zręcznie od jego odwiedzin w Studziennicy się chronił, nigdy prawie w domu nie bywając, kasztelanic tak dobrze go szukać umiał, iż zawsze gdzieś w kącie jakimś wynalazł, zaprowadził do dworu i sam próżniak, truł mu czas, przesiadując u niego długie godziny. Temu to naleganiu niezbyt delikatnemu winien był, że na Rabsztyńce, jakkolwiek wartość kawałka gruntu i ruin była wątpliwą, zaciągnął najprzód pożyczkę u studzienickiego pana, potem wziął od niego parę dodatkowych sumek, a w dodatku, obejściem się lekkiem, pogardliwem i groźnem, strachem go niemałym nabawiał. Od tej natarczywej przyjaźni kasztelanica nie było sposobu bronić się. Repeszko uciekał, krył się, wyjeżdżał, lecz wszelkie starania były daremne.

Ciężką tą plagą, jak mawiał cicho ks. wikaryuszowi, srogo Pan Bóg go za grzechy ukarał.

Tak stały rzeczy, gdy jednego poranku, w chwili, kiedy się go najmniej spodziewał pan Repeszko, wpadł do jego skromnej, a prawię rzekłszy, brudnej izdebki kasztelanic Iwo. Poznał go zdala po chodzie, ale nie było już sposobu wyśliznąć się, więc tylko ręce złamał i do nieba oczy podniósł, skarżąc się Bogu.

Słudzy mieli najsurowsze rozkazy, żeby, postrzegłszy gościa, natychmiast o nim oznajmywali, nigdy go nie wpuszczali, a na zapytania zawsze odpowiadali, że pana nie ma w domu; w dzień więc biały przybycie kasztelanica było fatalnością niepojętą. Repeszko domyślał się w tem złośliwości niegodziwych sług i w duchu sobie obiecał ukarać ich wszystkich trzydniowym postem o chlebie i wodzie. Była to kara jego ulubiona z dwojga powodów: jako rzecz Bogu miła, bo po skramiająca żądze cielesne, i... mówmy prawdę, wielce korzystna dla kieszeni. Interesa doczesne i niebieskie cudownie się w niej godziły.

Kasztelanic miał pod pachą, jak to zaraz dostrzegło bystre oko pana Repeszki, zwój papierów, nic dobrego nie rokujący. Twarz zacnego gospodarza pobladła trupio. Iwo tymczasem z powagą kroczył ku środkowi izdebki i zamiast powitania, silną swą dłoń myśliwca położył na ramieniu p. Nikodema, jakby się chciał zapewnić, że ten mu nie umknie.

— No — rzekł surowo — dobrze żem w. pana zastał, wybiła ważna godzina. Zawsze mu obiecywałem, że jego przyjacielską dla mnie pomoc zawdzięczę; otóż teraz przychodzę tego dopełnić, przekonasz się o tem natychmiast. Ale że rzecz potrzebuje przydłuższego wyłuszczenia... siadaj.

Tu wskazał mu łóżko jego twarde, a sam, nie bez wstrętu pewnego, zabrał miejsce w wyszarzanym starym fotelu.

— Jest godzina dziesiąta, nim sprawa nasza się ułoży, głód mnie przyciśnie. Co mi w. pan dasz jeść? — zapytał Iwo.

— Jeść? jeść? — bąknął gospodarz — ale to... to są suche dni... ja z postem, u mnie w kuchni pustki prawdziwe.

— Ty wiesz, jam myśliwy i zubożały, pulpetów też nie potrzebuję; lada baba nam co uskwarzy, byle posilnego. Jaj we wsi dostanie, zająca utroczonego do siodła przywiozłem, chleb, choć czerstwy, musi być; to i dosyć.

Klasnął w ręce kasztelanic raz i drugi, nie czekając, by się Repeszko rozporządził, a gdy wszedł sługa, nie dał mu mówić i mrugnąć.

— Słuchaj — rzekł — powiedz gospodyni, aby z obiadem się nie spóźniła; jegomość z postem, a ja nie. Zrobi mi jajecznicy, jaja wszędzie są i upiecze zająca, którego przywiozłem. Powiedz jej tylko, aby nie szpikowała starą słoniną, a resztę sam dokomponuję. Ruszaj! w skok! Nim p. Nikodem mógł się dyspozycyi tej, tak despotycznie wygłoszonej, oprzeć, chłopak, na którego mrugnął Iwo, już był za drzwiami.

— Teraz — dodał gość — nie ruszaj się w. pan i słuchaj, idzie o rzeczy ważne.

Repeszko, ofiarując Bogu strapienie swe, drżąc, postanowił być posłusznym, ale w głębi ducha poprzysiągł, że jeśli będzie szło o pieniądze, raczej się da ubić, niż ulegnie wymaganiom

— Nie wiesz o tem wać pan zapewne — począł Iwo — że od bardzo dawnych wieków zajadła waśń rozdzieliła dwa nasze domy, panów Spytków i Jaksów rodziny. Pierwsze początki sporu i współzawodnictwa sięgają może czasów Bolesławowskich, stare są jak rody nasze... Miłość się rzadko tak długo utrzymywać i podawać może, ale nienawiść jest trwałą, a czas ją umacnia i sił dodaje. Już w początku XVI. wieku Spytkowie z Jaksami nigdy u jednego stołu, w jednej komnacie z sobą zetknąć się nie mogli.

Ludzie ich, dwory, przyjaciele staczali z sobą walki nawet pod bokiem królów. Napróżno ludzie starali się ich pojednać, zbliżyć, połączyć, nieprzyjaźń ta stanowiła spadek, podawała się testamentami, przeszła w tradycyą, płynęła we krwi. W końcu XVI. wieku, mój przodek starał się o majętną dziedziczkę Kmiciankę, ręka jej była mu już przyrzeczoną, panna sprzyjała serdecznie, gdy Spytek się nawinął i na biesiadzie przy kielichach pannę dla swojego syna zaswatał, tak, że nim się kto mógł o staraniu dowiedzieć, już go zaręczył, a nim mój naddziad, który był na Węgrzech, nadbiegł, ślub mimo łez panny, odbyto. Była dla niego na wieki straconą, ale serce które mu raz oddała, biło tylko dla niego. Narzeczony wprzód Jaksa, kilka tygodni pozbawionym był zmysłów, tak gwałtownie w nim miłość i żądza zemsty miotała, potem wpadł w czarną melancholią i chciał się wyrzec świata; aż król, korzystając z chwili i osądziwszy, że dla samej możności widywania tej, którą kochał, gotów jest na największe ofiary, skłonił rodziny, po wiekach nienawiści, do uroczystego pojednania. Lękając się, aby ono powierzchownem tylko nie było, uczyniono je nader solennem, łącząc z niem obchód religijny, niegdyś przy podobnych zgodach praktykowany. Członkowie wszyscy obu rodów poprzedzani przez giermków, niosących na szczytach herbowne ich znaki połączone wieńcami, udali się w godowych szatach do kościoła i stojąc u ołtarza, pobrawszy się za ręce, słuchali mszy świętej. W chwili gdy kapłan odprawiający ofiarę ręce zwykł towarzyszom kłaść na ramionach, wszyscy Jaksowie i Spytkowie podobnież uściskiem bratnim i pocałunkiem spokoju starą waśń swoję przed tronem Bożym zakończyli.

Zdawało się tedy po uczcie, po przełamaniu chleba, po godach, po zaręczeniu dwojga młodych, z obu familii wybranych osób, że historya tych krwawych zapasów na wieki już będzie zamkniętą.

Ale są rodziny, fatalności jakiejś piętnem nacechowane na wieki. Naddziad mój, który tak był umiłował później mu wydartą Spytkową, począł uczęszczać do domu jej męża. Nie było w tem nic złego, ani cienia zdrady, ani możności jej, tylko nałóg sercowy, któremu biedny oprzeć się nie mógł. Chciał na nią patrzyć, widzieć czasem, że mu się uśmiechnęła przyjaźnie, pragnął być przyjacielem domu w czystości serca, bratem tylko i sługą... Spytek był nieufny, zgryźliwy, ostry dla żony i niemiły dla gościa, którego podejrzywał zawsze. Dziad nasz, im nieszczęśliwszą widział tę istotę, którą ukochał, tem do większych dla niej ofiar czuł się gotowym; znosił on opryskliwe czasem i mniej grzeczne napaści męża, aby nie zrywać z tym domem. Tak się to wlokło i przedłużało, aż do ostatniej sceny tragicznej, krwawej, strasznej, która tę zgodę w nowy płomień zajadłej wojny zmieniła, a na nas rzuciła wiekuiste zemsty dziedzictwo.

Spytkowie mieszkali naówczas na wsi, w starem swojem gnieździe, zamczysku ponurem, smutnem, zamurowanem jak twierdza, zamkniętem jak więzienie; dziad mój

przesiadywał w Krakowie. Z dawnej miłości ku Spytkowej pozostała mu przyjaźń gorąca ku niej i wiekuiste widzenia jej pragnienie a tęsknota. Spytka nie było naówczas w domu. W jakiejś sprawie zawikłanej, nie umiejąc sobie poradzić sama, Spytkowa listownie go wezwała, aby do niej przybył. Pospieszył na to zaproszenie biedny, i nie sądził, ażeby tem zgrzeszył. Oboje byli na duchu czyści i bez myśli złej, ale im spłynął dzień niepostrzeżenie na słodkiej rozmowie. Pod wieczór — mówi tradycya — zerwała się burza straszliwa, i powracać nie było sposobu. Jaksa musiał pod tym dachem zanocować. Dano mu pokoje na drugiem skrzydle zamkowem, a że burza wrzała i nikt spać się nie kładł, gospodyni i gość przesiedzieli do północka.

Z tą burzą niespodzianie (podobno przez złośliwość ludzi podbechtany) wpadł Spytek o północy na zamek, i zastawszy ich oboje na cichej rozmowie, rozgorzał gniewem okrutnym. Napróżno żona, klęknąwszy przed nim, przysięgała, że była niewinną, próżno się Jaksa chciał tłumaczyć; nie słuchając nikogo, wściekły mąż kazał natychmiast ująć mego naddziada, okuć w kajdany, posłał po kata, sprowadzonego na rozstawnych koniach przededniem i w starym lochu więziennym, w obecności żony swej, ściąć go kazał. Trupa pochowano w lochu, głowę kat zachował, aby na wieki w rodzinie jako świadectwo zemsty pokazywaną była. W chwili gdy miecz katowski dotknął szyi niewinnego człowieka, który Bogiem się świadczył, iż nie przewinił myślą nawet, padła pani Spytkowa omdlała i ledwie ją otrzeźwiono i przywiedziono do życia.

Przekonał się wkrótce później mściwy mąż o zupełnej niewinności nieszczęśliwej niewiasty, ale milczał aby pokryć swą zbrodnię. W pół roku potem wydała na świat Spytkowa córkę, która przyniosła z sobą znamię krwawe na szyi. Była ona cudem piękności, ale ojcu wyrzutem ciągłym jego okrucieństwa, za które próżno odprawiał pokuty, gniewu bowiem Bożego przebłagać nie mógł nigdy. Odtąd rodzina, jakby palcem zemsty Bożej naznaczona na pokutę, karleć, marnieć i znikać poczęła. Córka owa, śliczna dziewica, doszedłszy wieku, dnia i godziny, w której matka jej była świadkiem śmierci niewinnego, nagle, jak rażona mieczem katowskim, umarła. Napróżno stawiali kościoły, odprawiali pielgrzymki, sypali jałmużny; Bóg krwi przelanej nie darował... a pokutę uczynił długą i ciężką..

Rozżarła się nienawiść pomiędzy rodzinami na nowo, a choć już czasy nie dopuszczały ani dzikich napadów, ani krwawych bojów, zmieniła się w walkę cichą, nieustanną, zajadłą. Tak ona dotrwała do dni naszych, i jam jest — dodał wstając z krzesła Jaksa — ostatnim dziedzicem, na którego zdano pomszczenie krzywdy, narzędziem Opatrzności fatalnem, mimowolnie posłusznem. Los chciał abym i ja był w tem położeniu, co mój naddziad; Spytek wydarł mi tę, którą miałem poślubić. Patrzyłem lat wiele z męczarnią w sercu na jej niedolę, ale wybiła godzina...

(C. d. n.)

HOŁD STEFANA CHROBREGO.

(wojewody wołoskiego królowi Kazimierzowi Jagielończykowi w Kołomyi złożony r. 1485.)

napisał

FRYDERYK PAPÉE.

(Dokończenie).

Od chwili upadku Konstantynopola r. 1453, rozszerzając się coraz bardziej na północ, dosięgła ona właśnie w tym czasie krajów zadunajskich krwawymi swymi zagony — z jednej strony Węgier, Karyntyi, Krainy; z drugiej Wołoszy i Multan. Stary wróg Stefana, Radul besarabski, już się był przed nią ukorzył i jej pomocą wsparty z nową zaciętością hospodara wojować zaczął. Daremne były pośrednictwa pokojowe Kazimierza, (1474) który sił Wołoszyna teraz przeciw Maciejowi potrzebował — a przeto od wojny besarabskiej uwolnić go zamierzał — owszem wnet rzeczy jeszcze groźniejszą przybrały postać, kiedy sam Mahomet II z pomocą Radulowi wyruszył. Nie uląkł się jednak i tej potęgi dzielny wojewoda, uderzył na Turków — i nad wszelkie spodziewanie odniósł przy pomocy tylko 5000 Szeklerów — których mu zapewne Maciej nadesłał — nad rzeką Belrad, w okolicy bagien rakowieckich, świetne nad potężnym nieprzyjacielem zwycięstwo w r. 1475. Trofea swoje jak dawniej przesłał królowi na Litwę, usilnie go o szybką pomoc błagając. Ale tym razem, wśród grozy niebezpieczeństwa, nie ograniczył się na tem hołdownik Kazimierza i sięgnął dalej, tam gdzie sięgać był nie powinien na mocy swego stosunku lennego, bo udał się z tą samą prośbą do otwartego wroga Polski, do króla Macieja. W tej chwili i z tym krokiem stanął na rozdrożu, jak gdyby rozglądając się w stosunkach, chciał Mołdawii na nowo lennego pana wybierać. I w tej też chwili przypomniały się dwom królewskim przeciwnikom — mimo że właśnie panował chwilowy pokój — dawne już w zapomnieniu gasnące spory, bo wyznaczyli sobie zjazd w Szramowicach (w r. 1475) celem nowego omówienia przynależności ziem ruskich, tudzież Mołdawii. Ale zjazd ten nie przyszedł do skutku a Mołdawia została nadal na tem wahającem się stanowisku, otrzymując pomoc dyplomatyczną i wojskową tak od Kazimierza jak też i od Macieja. [1]) Tymczasem mimo tej dwustronnej pomocy źle się działo Stefanowi i stracił z czasem dwa najważniejsze przedmurza swej krainy: Kilię i Białogród — a to dlatego, że pomoc ta, jakkolwiek dwustronna, była nader małą; raz, że obaj monarchowie, pasując się znowu ze sobą w krwawych o ziemie czeskie zapasach, *nie mogli* znaczniejszych sił wydzielić na ratunek wojewody, a powtóre, że wobec wahającego się jego stanowiska uczynić tego *nie chcieli*, będąc w niepewności, na którą stronę się ostatecznie przechyli. Widział się tedy Stefan zmuszonym takiemu wahaniu koniec położyć, aby zobowiązawszy sobie jednego z obu królów stanowczo — stanowczej też mógł od niego zażądać i oczekiwać pomocy.

Przychodzimy tedy do tego niezmiernej wagi pytania, co ostatecznie spowodowało decyzyą wojewody na korzyść Polski? Rachując się z zewnętrznemi, więcej od przypadku zawisłemi okolicznościami, weźmiemy przedewszystkiem na uwagę, że w r. 1479 zawarty został między Polską a Węgrami pokój w Ołomuńcu [2]), po którym Maciej w nową wdał się wojnę z cesarzem w Austryi, gdy tymczasem Kazimierz używał pokoju, a zatem wolniejsze miał do niesienia pomocy ręce. Ale jeśli się o wewnętrzne, od woli i rozumu ludzkiego zależne czynniki zapytamy, które to pytanie w naszym wypadku będzie brzmiało tak: o ile król Kazimierz na owo tak świetne dla dziejów naszych zdarzenie z r. 1485 staraniem swojem, dyplomacyą swą — sam zapracował; to właśnie w chwili, kiedy się zaczyna właściwy nasz interes, kiedy już nie z ślepemi siłami losu, lecz z pracą ducha ludzkiego, z tym najwyższym czynnikiem w dziejach, liczyć się mamy — w tej chwili opuszczają nas nasze źródła lepsze, a w gorszych na nasze pytanie odpowiedzi nie ma. W r. 1480 ustaje Długosz, a przychodzi na pierwszy plan Wapowski, od którego tylko czystej prawdy historycznej i dokładności w przedstawieniu żądać, już jest wielkiem żądaniem — a gdzież tu dopiero szukać jakiegoś głębszego wniknięcia w sprawę, jakiegoś zmysłu dyplomatycznego? — tego nie raz i nie dwa u Długosza brak, cóż dopiero u Wapowskiego, który nie godzien jest rzemyka rozwiązać u nóg starego kanonika krakowskiego. Musimy się tedy zadowolnić gołosłownem powiedzeniem, że były mnogie i rozmaite w tej sprawie traktaty — co nam daje tylko pewność, że królowi Kazimierzowi całe to szczęście z r. 1485 z nieba daremnie nie spadło, lecz że na nie pracować musiał; jak jednak i o ile — na te pytania nie znachodzimy w dotychczas znanych źródłach odpowiedzi.

Dotychczas przytoczone fakta rzucają jednakowoż dostateczne światło na właściwe zrozumienie całego wogóle stosunku Mołdawii do Polski, a niniejszego hołdu z r. 1485 w szczególe. Wyciągamy z nich dwa dość ciekawe a z ogólnie dotychczas rozpowszechnionem mniemaniem nie zupełnie zgodne wnioski [3]). Właściwem przeznaczeniem właściwą funkcyą Mołdawii w orga·

---

[1]) Wszystko to u Długosza II 508, 516, 526, 527, 538, 547, 551, 562.

[2]) Długosz II 583.

[3]) Cały ten opis hołdu oparty jest na dokumencie hołdowym zachowanym w Volumina legum I 109. (petersburskie wydanie) tudzież u Przyłuskiego Statuta etc, a w części u Dogiela 1 603 etc. Z Wapowskiego (wydanie krak. akad. um. Scriptores rerum polonicarum II) tylko jeden szczegół przyjąłem t. j. rozesłanie wici we Lwowie, za którym to faktem zdają się przemawiać podobne przygotowania wojenne w Krakowie por. Helcel: Starożytne prawa polskiego pomniki II 854—5 tudzież wielka liczba zebranego rycerstwa (tamże nr. 4302: Casimirus Rex Polonie *cum gentibus* in terras Russie processit). Jeżeli Kazimierz już z Krakowa liczną szlachtę wywiódł, to zapewne nie zostawił w spokoju szlachty ruskiej, którą ta sprawa przedewszystkiem interesowała. Jak zaś cała wyprawa szeroko była głośną, o tem niech poświadczy bałamutna wiadomość kroniki pskowskiej wtórej, pisanej przy końcu 15tego lub na początku 16tego w. Połnoje sobranie ruskich lietopisów V 44: (Lieta 6993—1485) „Wołyńskij wojewoda Stefan i uhorskij car i Lackij litowskij kniaź wełykij korol Andrzej z wsimy swoimy kniaziamy i ponajmowawsze mnożestwo żołnirej niemieckich idosza na poganoho caria tureckoho i otniasza preże Bielhorod potom kielo hrad wołyńskij i pojdosza za Dunaj suchoju dorohoju k' Carohradu; i nie wiemy czto budet po sich“. Na liczbę Wapowskiego (20,000) suścić się nie zechce, kto zna jego niedokładność w achubach (por. np. jego liczbę umierających dziennie od zarazy w Krakowie w r. 1482 wziętą z Miechowity z liczbą tegoż Miechowity). Prócz przytoczonych tu źródeł używałem jeszcze dokumentu w aktach ziemskich i grodzkich VI 209. etc.

nizmie państwowym polskim było trzymanie straży na południowych granicach królestwa nie od Turków, ale *od Węgrów*. Tak było od czasów Jagiełły aż do ostatniego siedmiolecia (do r. 1490). Widzieliśmy i w naszym wypadku, że chociaż ostatecznym *powodem* byli Turcy, to jednak właściwą przyczyną i bodźcem działania był stosunek do Macieja, którego potęga zresztą o wiele była wówczas dla Polski groźniejszą, niż potęga turecka. Dopiero po jego śmierci w r. 1490, kiedy i Węgrami zawładnął ród Kazimierza, a przeto ustalił się od tej strony pokój, zaczęli bracia jagiellońscy, łączący się ku wspólnej obronie przeciw Turkom, uważać Multany za przedmurze przeciw pogańskiej nawale. Po skonstatowaniu tego faktu możemy dopiero zrozumieć ważność całego stosunku i ważność przysług, jakie ziemia wołoska nam oddała i możemy śmiało odeprzeć twierdzenie, jakoby utrzymywanie jej w stosunku lennym było pracą nieproduktywną, która wiele wymagała nakładu a mało przynosiła owoców. Bo ani wiele nie wymagała nakładów, ani tem mniej nie była bez korzyści, jeśli będziemy tu mieli na oku korzyści takie, jakie mogła i jakie miała przynosić tj. przeciw Węgrom. A tak i hołd w r. 1485 w Kołomyi złożony nie przedstawi nam się jako próżna ostentacya i jako czcza zabawka, ale jako głęboką potrzebą spowodowany krok polityczny, jako środek, którym król zapewnił sobie stanowczo i uroczyście wierność potężnego a ku jego najwalniejszemu wrogowi już nachylającego się lennika.

Przychodzimy teraz do opisu hołdu kołomyjskiego. Po mnogich tedy i rozmaitych układach, o których bliższych nie mamy wiadomości, zgodził się Stefan na osobiste złożenie hołdu w pomienionem mieście, król zaś przyrzekł mu pomoc i obronę przeciw Turkom. Postanowił zaś Kazimierz wyruszyć zbrojno i rojno, i więcej wywieść wojska, niżby tego dla dania pomocy Stefanowi potrzebował, zapewne dla tego, aby mu wpoić uszanowanie a z drugiej strony zaufanie w potęgę polską i tak go tem bardziej dla siebie pozyskać. I już 1. czerwca 1485 r. widzimy stolicę tak dalece zajętą przygotowaniami i zbrojeniami do nowej wyprawy, że nawet roki sądowe grodzkie, mające się niebawem odbyć, aż do przyszłej wiosny odłożono. To też kiedy król w stolicy Rusi we Lwowie stanął — znajdujemy go tu 15. sierpnia t. r. — byli już około niego najznakomitsi dygnitarze koronni: kilku biskupów wojewodów i kasztelanów, między którymi sam kasztelan krakowski Jakób z Dąbna — dalej kanclerze, skarbnik i znaczny poczet rycerstwa. Wydawszy wici zwołujące całą ruską i podolską szlachtę pod broń, ruszył w pochód dalszy, a zastępy jego powiększały się coraz bardziej nadpływającymi ze wszech stron urzędnikami i rycerstwem ruskiem — aż doszły według rachuby Wapowskiego do liczby 20,000. Z tem potężnem wojskiem przeszedł król Dniestr pod Haliczem i stanął pod Kołomyją obozem. Wnet nadciągnął chrobry wojewoda Stefan, dla złożenia hołdu według umowy. W pośrodku obozu wzniósł się na nieznacznem podwyższeniu błyszczący złotem i purpurą namiot, a wśród niego zajął Kazimierz 15. września 1485 przybrany w koronę i insygnia państwa tron swój królewski. Naokoło monarchy zajęli miejsce naj pierwsi dostojnicy koronni, tak duchowni jak świeccy. podpory tronu w boju i w radzie, a za namiotem cisnęło się liczne rycerstwo ciekawe niezwykłego widowiska. Na dany znak zbliżył się Stefan w orszaku pierwszych swych bojarów, wśród odgłosu trąb i rogów wojennych, do namiotu królewskiego, a zeskoczywszy z konia, pochwycił w dłoń chorągiew swojej ziemi purpurową, ze złotolitym herbem Mołdawii — i wkroczył do wnętrza; za nim bojarowie z chorągiewkami, przedstawiającemi ich posiadłości ziemskie. Podstąpiwszy sam przed majestat królewski, padł przed nim na oba kolana sławny w ówczesnym świecie chrześciańskim pogromca Węgrów, Turków, Tatarów, najdzielniejszy z wojewodów mołdawskiej ziemi — wśród których przydomkiem Wielkiego lub Chrobrego naznaczonym został, ugiął kornie czoło, pochylił chorągiew swą aż do samej ziemi i rzekł:

„Najmiłościwszy królu mój, ja Waszej król. Mości hołd czynię i składam z wszystkiemi ziemiami i wszystkimi ludźmi moimi: i proszę o opiekę Waszej kr. Mości i o zachowanie praw i prawa mego i dostojeństw moich“.

Natenczas przystąpił doń Jan arcybiskup lwowski w assystencyi dwóch swoich suffraganów: Kamienieckiego i Chełmskiego z krzyżem i ewangelią, a Stefan położywszy dłoń na krucyfiksie przysięgał powtarzając słowa Krzesława z Kurozwęk kanclerza w. kor:

„Najłaskawszy królu, ja hołd składam i przysięgam i także przyrzekam bez podstępu i zdrady Waszej król. Mości i następcom W. K. M. królom i świętej koronie królestwa polskiego z wszystkiemi ziemiami, wszystkimi bojarami i ludźmi moimi, wierność, i że będę wiernym i posłusznym Waszej król. Mości, jego następcom i koronie królestwa polskiego; tak mi Boże dopomóż i święty Chrystusa krzyżu“.

Wysłuchawszy słów przysięgi rzekł król:

„My Ciebie i ziemie twoje pod naszą obronę przyjmujemy i przy wszystkich dostojeństwach i prawach jako w ziemiach twoich naszego wojewodę zostawiamy“.

Poczem hospodara podniósł, pocałował i obok siebie posadził, a odebraną z rąk jego chorągiew Mołdawii oddał marszałkowi królestwa, aby ją wraz z owymi mniejszemi chorągiewkami bojarów w skarbie koronnym przechował na pamiątkę hołdu i na zakład wierności. Przed oblicze obu władców przystąpili teraz bojarowie wołoscy i jużto dotykając się krzyża, jużto 2 palce podniósłszy w górę, przysięgali imieniem całej ziemi mołdawskiej „wierność i poddaństwo królowi Kazimierzowi i jego następcom i koronie królestwa polskiego po wieczne czasy“. Na zakończenie całego obrzędu pasował król tychże bojarów i wszystką młodzież swego dworu na rycerzy, a 3,000 doborowej jazdy przydzielił natychmiast Stefanowi, jako pomoc przeciw Turkom, która mu w wojnach jego doskonałe czyniła przysługi.

Świadkami tego świetnego obrzędu, o którym wieść — chociaż ciemna, aż do odległych ziem moskiewskich doszła, głosząc sławę i potęgę Polski, byli najznakomitsi dygnitarze królestwa, otaczający tron Kazimierza w chwili hołdu: 3 biskupów, kasztelan krakowski, 6 wojewodów, 5 kasztelanów; obaj kanclerze, obaj marszałkowie; miecznik i chorąży ziemi krakowskiej a wreszcie garść młodzieży szlacheckiej. Czy też owo za namiotem królewskim niecierpliwie i ciekawie cisnące się rycerstwo w widoku ukorzenia się wojewody przed majestatem polskiego króla wzięło udział, i to w ten sposób jak opowiada Wapowski: że mianowicie w chwili najuroczystszej, w chwili kiedy hospodar ukląkł i chorągiew nachylił, ściany namiotu, już przedtem na cel ten przyrządzone padły—to pozostaje wątpliwem; gdyż innego źródła o tem nie mamy, a na samego Wapowskiego spuszczać się nie chcę i przyłączam się tu w zupełności do zdania szan. kolegi mego *S. Łukasa* — wyrażonego w krytyce kroniki Wapowskiego, mającej niebawem pójść do druku, że mianowicie być może, iż wspomniany dziejopis miał jaki opis zdarzenia od kogoś z naocznych świadków, ale też być może, iż sobie go sam wypragmatyzował na zwyczajny wzór innych hołdów, n. p. hołdu Ottokara cesarzowi Rudolfowi złożonego, amplifikując może w ten sposób swoje niedokładne i małe o nim wiadomości.

Dziś, kiedy już czwarte od owego pamiętnego zdarzenia ubiega stulecie, stanął na niskim wzgórku za Kołomyją wśród rozległego pola od rogatek tego miasta ku wsi Piadyki się ciągnącego, na lewo od gościńca horodeneckiego: 14' wysoki obelisk z piaskowca, wśród którego marmurowa umieszczona tablica następujący nosi napis: „Tu, na tem miejscu Kazimierz Jagiellończyk król polski odbierał hołd wierności od Stefana hospodara Wołoszy i Multan w r. 1485“. Jakkolwiek głęboką jestem przyjęty czcią dla tych, którzy bez odwołania się nawet do kraju, z własnych zasobów swego powiatu postawili ten skromny wprawdzie formą, ale doniosły swą treścią pomnik, bo pomnik narodowej sławy — to jednak nie mogę tu pominąć milczeniem tej okoliczności, że słowa pomnika wykraczają nieco przeciw prawdzie historycznej, albowiem bliższego oznaczenia miejsca hołdu kołomyjskiego nie znachodzimy w żadnych spółczesnych źródłach; a na tem, że miejsce to najdogodniejszem wydaje się dla wielkiego obozu i wogóle odpowiada szczegółom historycznego, ale nadzwyczaj pod względem lokalnym niedokładnego opisu, tudzież na tem, że podanie ludowe przywiązuje doń jakieś wspomnienie o wypadkach wojennych, oprzeć się stanowczo nie wolno. Gdyby, wobec niemożliwości stanowczego rozstrzygnienia tej kwestyi, postarano się o jej pominięcie, kładąc np. napis: na pamiątkę hołdu... etc. lub tp., byłby się pomnik ustrzegł tej niedokładności, ktora czyni ujmę jego historycznej powadze; byłby jak inne kamienne świadectwa przeszłości przemawiał do nas słowy krótkimi i lapidarnymi, z których jednak powinna wiać cała czysta i surowa prawda, pierwszy warunek tego wzniosłego zachwytu, jaki w nas wzbudza patrząca na nas i przemawiająca z nich oko w oko przeszłość dziejowa. Usterka to jednak mała i nie może odjąć zasługi komitetowi kołomyjskiemu; to też kraj z wdzięcznością przyjął jego pracę.

We Lwowie 9. października 1877.

Fryderyk Papée.

TYPY TROPIKALNE

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Dokończenie).

Rano, nim słońce zajrzało pod wschodnią werandę, donna Izabella zasiadywała w kącie ganku, na niziutkim taburecie, z koszyczkiem przy sobie pełnym włóczki różnobarwnej, z francuską powieścią lub zeszytem *Revue des Deux Mondes* na kolanie, a kryształową wazą z py-

sznemi kwiatami przed sobą. Donna lubiła literaturę, lecz jak przystało na Hiszpankę, nigdy w życiu nie doczytała żadnej książki, zawsze tylko początek i koniec przerzucała. Haftowała często, ale nakształt Penelopy nie skończyła żadnej tkaniny. W rozmowie zapominała zawsze przedmiotu najpierw poruszonego i przeskakiwała na inny temat, z nagłością i naiwnością bawiącą słuchaczy. Miała dwie córeczki młodziutkie, którym udzielała co rana pierwszych lekcyi czytania z czarnej, złotym krzyżykiem ozdobionej książki. Miała i synka dziesięcioletniego, pociechę domu, któremu wolno więc było niczego się nie uczyć, oprócz dosiadania mułów i koni. Posiadał on nieograniczone prawo dręczenia wszystkich zwierząt domowych, a praktykował je wespół z Ferdynandem tak bezwzględnie, że dziwowaliśmy się wszyscy, iż muły ich nie stratowały na śmierć.

Przed dziesiątą z rana odbywały się przejażdżki na szczyt owej dwuramiennej góry. Tam, pod nami, rozwijał się świat tropikalny i niezmierzone przestrzenie kobaltowego morza. Z powrotem, w południe, po śniadaniu, gdy skwar nie pozwalał wychylić się z pod chłodnego dachu, grywano w szachy, ale nigdy nie kończono partyi, bo w takim klimacie niczego skończyć, niczego na seryo zrobić nie można. Podobnie pełzły na niczem partye przy bilarowym stole, próby uczenia się po hiszpańsku od pań, które wszystkie mówiły i po francusku, nawet szepty pół żartobliwe, pół na seryo, zawsze o sercu traktujące. Tylko *dolce far niente* i sen udawały się w tej piekielnej porze. Sypialiśmy w hustawkach z żaglowego płótna, w fotelach biegunowych, w ogrodowej altanie; gdziekolwiek zajrzelibyśmy, moglibyśmy zobaczyć uspioną postać. Wszystkie te sny przerywała najsolenniejsza dnia chwila, gdy o godzinie czwartej Ferdynand zaczął walić w *gong*, rodzaj blaszanego bębna, nawołując na obiad. Wtedy senhor i wszyscy panowie występowali we frakach, damy spóźniały się z powodu toalety, która odkrywała biusty pyszne i ramiona jak toczone. Ferdynand dodawał do śnieżnego stroju śmietankowe rękawiczki, regularnie splamione na palcach czerwoną marmoladą, kosztowaną w drodze. Donna Izabella zasiadała u wyższego końca, utrefiona ze smakiem Paryżanki. Nieskończone pasmo przysmaków na porcelanowych półmiskach drażniło apetyt gości. Mieliśmy tam angielską obfitość, francuską delikatność i pompę hiszpańską. Przy każdym kieliszku Oporto wstawano ceremonialnie, pijąc zdrowie dam, powodzenie bohaterów walczących o kubańską niepodległość lub braterstwo wszystkich ludów w ogóle, a mianowicie tych wolność miłujących narodów, co nie miały reprezentantów w hotelu senhora. On sam wyznawał z rozczuleniem, że ta godzina solenna nagradzała go za gorycz wygnania, mitygowała rozpacz budzoną sto razy na dzień z powodu wykroczeń niegodziwego Ferdynanda, zwracała mu stokrotnie gruby deficyt, który rokrocznie naturalnym rzeczy porządkiem okazywał się w bilansie oberży w ten sposób prowadzonej przez potomka hidalgów.

Po obiedzie, nad wieczorem, donna zasiadywała na zachodniej werandzie, gdzie ją całą oblewała purpura zachodu, że jej kędziory gorzały blaskiem cennego kruszcu. Dowcip senhority równał się jej urodzie; jego skry sypały się z jej ust bezwiednie, bez przymusu a nawet bez woli osoby mówiącej. Najczęściej dopiero wtedy miarkowała, iż powiedziała coś nadzwyczajnego, gdy śmiech gości zwrócił jej uwagę na własne słowa. Jak niegdyś na Colon'ie tak i na tej wyżynie całe otoczenie hołdowało jej bezwzględnie; wątpię, czy za magnackich czasów senhora posiadała dwór posłuszniejszy. Grupa gwiazd, z których każdą liczonoby do pierwszorzędnych po za obrębem kreolskiego świata, otaczała ją, przyznając jej prym w tem miejscu, przedstawiały one niejako świtę dam honorowych, co towarzyszą każdej monarchini. Tuż przy niej zasiadała pani Laura, w koronkach brabanckich czy alesońskich, nie pamiętamy—naszyjnikiem rubinowym i ramieniem ujętem w masywną, turkusową bransoletę. Tu siedziała też donna Maria, której mąż tak był podobny do portretu Napoleona I. — gadatliwa, francuska kreolka z Nowego Orleanu, z twarzą co się zapalała i gasła, smuciła i ożywiała, sto wyrażała uczuć w jednej minucie, skutkiem zapału, z jakim ta pani wyrażała swoje zdania. Żona plantatora kawy także tam siadywała, płonąc brylantowemi ozdobami i szaperonując trzy córki, piękniejsze od poranków wiosennych. Nad fotelami pań schylali się panowie, angielski turysta o długich, jasnych bokobrodach, co podróżował po świecie, szukając uzdrowiającego klimatu i poratowania zdrowia — mówiąc nawiasem, zdawało się, że koń furgonowy nie powstydziłby się podobnej konstytucyi - dalej siedział pan Samuels, kupiec hebrejski, niejako cały złożony z pomady i klejnotów, oraz pan Parker, inżynier z kraju Yankesów, co na całej kuli ziemskiej koleje wytrasował i ogorzał przy tej operacyi do barwy czerwonej cegły, p. Berti, przystojny młodzieniec Kubański, o dłoni i stopie drobnej, rasowej, płaczący w hotelu patryotycznemi przemówieniami do senhora. W miesiąc później powieszono go podobno na głównym placu w Hawanie, jako buntownika, chociaż bunt ten ograniczał się na powrocie z niezasłużonego wygnania do rodzinnego kraju. Tu stali także inni panowie zwiedzający góry, wreszcie sam senhor, jak zawsze uśmiechnięty, małomowny, dumny z urodziwej małżonki, co na odludnej wyżynie zgromadziła sobie dwór taki i więziła go czarodziejską potęgą. Słońce zniżało się powoli w ową szparę, rozdzielającą na dwie igły szczyt góry wprost nas. Zmrok zapadł — tysiąc motylków ognistych oświetlało ogród, żarząc się w kapryśnych lotach na wzór cygaret naszych kreolek (wszystkie te damy paliły.) Chroniono się do sali, do herbaty, walców, fandangów, rozmów po za klombami roślin tropikalnych, w wazonach napełniających największą salę w domu, że wyglądała jako ogród pod dachem. Światło tam było takie mdłe... cie nie tak głębokie padały na spacerujące pary... takim szmerem głuszyły tam liście, miotane przeciągiem półgłosy ludzkie... w aromacie roślin tkwił eliksyr, co usposabiał wszystkich miłośnie... ale i namiętności nie było w tem usposobieniu. Klimat tamtejszy nawet Kupida czyni ospałym i nie pozwalał się roznamiętniać. Białe dłonie tych czarnookich zdradnemi spojrzeniami strzelających kreolek były zawsze jak lód zimne, nawet w najgrubszym cieniu. Każda z nich kobieta, żadna nie bierze wyznań na seryo, są to istoty najniebezpieczniejsze dla cudzoziemca, najwierniejsze dla własnych mężów na kuli ziemskiej.

Na dworze osiadają motyle latarniowe na kitach bambusów, że te płoną na kształt olbrzymich kandelabrów, a łodygi ich wyglądają jak ogniste filary, wspierające baldachiny z samych płomyków utkane. Każdy bambus przypomina o tej porze drzewko z wilii Bożego Narodzenia. Jak cudnie i potężnie świecą te świętojańskie robaczki tropików! Weź jednego z nich, uczciwego, co się nie kaprysi i nie zakrywa nigdy swej lampki, włóż go w butelkę, a przeczytasz przy nim gazetę. Donna Izabella kazała raz złapać pół tuzina takich owadów, obwinęła w muszlin i obwiązywała nim łabędzią szyję — wtedy zaćmiewał jej naszyjnik brylanty plantatorowej i szmaragdy donny Laury. Taką ją pamiętamy w ostatniej nocy naszego pobytu na werandzie tropikalnego hotelu, gdyśmy prawie do rana wszyscy tam siedzieli.

Gasną świętojańskie motyle—rozwidnia się, kolibry się budzą i rojnie podlatują. Wódz lacedemoński, co życzył sobie tyle strzał nad głową, aby mógł walczyć w ich cieniu, gotówby tu pomyśleć, że życzenie jego spełniono, mógłby walczyć w cieniu kolibrów. Kędy okiem rzucimy, widzimy je gęściej od purpurowych kwiatów *quaresma*, w które zatapiają długie swoje żądła, szukając miodu na śniadanie.

Już i dzienne motyle zaczynają się budzić, i w brzasku mkną po nad ogrodem, lotami o najrozmaitszych barwach i kształtach. Bujają one po nad roślinnością, jako kwiatki oderwane od łodyg zefirem i ożywione jego tchnieniem. Niektóre z nich tak są podobne do listków roślin, na których spoczywają, że trudno odróżnić te od tamtych. Poranne powietrze drga niemi. Roje dziatwy murzyńskiej (nasza *facenda* wychowuje całe plemie czarne), upędzają się za niemi i za kolibrami, łapiąc je siatkami z muszlinu, aby nam odjeżdżającym, złożyć cenny trybut tropikalnych upominków.

Przy stajni siodłają muły. Po stromych ścieżkach nad stajnią schodzą mieszkanki wyżyn, murzyńskie góralki. Na głowach dźwigają kosze pełne owoców, lub bawełny rodzinnej, zebranej z drzew bawełnianych, lepszej na materace od edredonu. Słuszne one i czarne jak heban; biała chusta tworzy ich jedyne ubranie, fałdując się na plecach, zostawiając zawsze jednę pierś niezakrytą, sięgając tylko po kolana, odkrywając nogi, co słonia mogłyby dźwigać. Spieszą ku nizinom, zanim słońce wychyli się z po za gór wschodnich, utrudniając spiekotą pochód do miasteczka.

Ferdynand roznosi śniadania do prywatnych apartamentów. Senhor wyszedł z domu i w negliżu porannym przyjmuje naszą zapłatę nie jako łaskawe zrównanie rachunków, ale z tonem króla, któremu poddani płacą podatki. Po tej operacyi idzie do kąpieli, basenu w skale marmurowej, wygrzebanego kaskadą górską, która tworzy tam naturalną prysznicę. Małpy skrzeczą w bambusach, gołębie gruchają w bananach i tamaryndach, a z po za góry strzeliły długie snopy pomarańczowego światła, i wyszła pyzata tarcza słoneczna. Bór tamaryndowy po za ogrodem gwarzy ptastwem, ale wnet głuszą rżenia mułów wszystkie inne tony. Z drzwi fazendy wychodzą panowie w długich butach i oturbanionych kapeluszach, damy w amazonkach. Dosiadamy biegunów—*vale, senhor* — z po za żaluzyi czarne oko senhority i dłoń jej biała mówią spojrzeniem i gestem: *vale*.

Znikł już hotel tropikalny... nie widzieliśmy go od niepamiętnych czasów. Czy też jeszcze się bielą jego ściany tam na wyżynie, po nad niższą chmur strefą? Może już zniszczył go chroniczny deficyt roczny, i stoczyły mrówki? Może tylko bambusy tam szkrzypią, a palmy

rzucają cień na ścieżki zarosłe dziką gęstwiną, a kolibry, tak oswojone niegdyś, precz frwają na dźwięk ludzkiego głosu. A może hotel wciąż tam stoi, pośród kwiecia z koronami w formie urn alabastrowych? Ale czy senhor, podobny do hiszpańskiego granda, i senhorita, co przypominała królowę przebraną w karczmarkę, jeszcze szafują wciąż jego gościnnością? W tropikalnych krajach wszystko się zmienia z znikomością owadów jednodniowych lub wdzięków senhorit. Gdybyśmy byli pewni, że ich tam zastaniemy, kto wie... kto wie, czy nie zajrzelibyśmy tam raz jeszcze, bo na szerokim świecie nie znamy milszego, ospalszego zakątka. Tam nie możnaby przy najlepszej chęci smucić się, kłopotać, nawet roznamiętniać. Ale bez senhora i bez senhority tamtejsze *quaresma* i jaśminy nie miałyby dla nas woni, lilie i kolibry straciłyby swój połysk metaliczny,—dla nas,—chociaż innym, co nie widzieli nigdy ducha opiekuńczego tego ustronia i owej donny kreolskiej możeby i teraz się podobały. W niepewności, ażali tam znajdziemy dawne gospodarstwo, nie kwapimy się z powrotem — wolimy żywić w pamięci cudne obrazy uniesione ztamtąd. Nie, nie powrócimy tam. *Vale senhor.*

Sygurd Wiśniowski.

BITWA POD IGNACEWEM

I ODWRÓT Z POD KLECZEWA.

(Wyjątek z pamiętników o powstaniu 1863. r.)

(Ciąg dalszy).

Bój rozpoczął się w lesie z wielką natarczywością ze strony nieprzyjacielskiej, przewyższającej znacznie nasze siły, liczące strzelców i kosynierów razem 285, a kawaleryi 110 ludzi. Partyzanci ożywieni tak pięknem zwycięstwem dnia poprzedniego, bili się nadzwyczaj mężnie, tak n. p., że kosynierzy po największej części włościanie z Poznańskiego przybyli, podszedłszy niespodzianie zbożem Moskali, napędzili im niezmiernego strachu, a przytem o mały włos co nie zabrali armat, które z trudem ledwie zdołali ocalić kanonierzy. — Lewe skrzydło nasze prowadził pułkownik Raczkowski, prawe zaś znany uciekinier na Mazowszu major Gruszczyński. Na lewem skrzydle dowodził kompanią piechoty z wojska pruskiego do nas przybyły kapitan Kranich, jakkolwiek Niemiec, człowiek jednak pełen zacności i nieustraszonej odwagi. Pułkownik Callier, naczelnik województwa głównego, dowództwo miał w tej bitwie. — Nasi trzymali się długo mężnie, skutkiem czego parcie Moskali z początku tak impetne, pomimo ich znacznie przewyższającej liczby, poczęło być coraz słabsze i słabsze, i już było dobrze po południu, kiedy Moskale zatrąbili do odwrotu. Na ten sygnał ich tyraliery poczęły się z ziemi podnosić i odstępować, co naturalnie w nieporządku się odbywało. Spostrzegłszy to Mierzyński chciał na te bezładne kupy odstępujących tyralierów moskiewskich szarżować ze swoją kawaleryą, która nietylko że nie chciała iść naprzód, ale odwróciwszy się drapnęła w przeciwną stronę, pozostawiwszy na placu samego swego dowódzcę, który też wystrzałem karabinowym został rannym. Ogień ze stron obydwóch począł słabnąć; Moskale usunęli swe działa na odleglejsze wzgórza, zkąd od czasu do czasu strzelali z nich bez żadnej dla naszych szkody. Nasi myśleli, że już się wszystko skończyło, że Moskale cofną się w jedną stronę, a nasi pójdą w drugą, na co się też i widocznie zabierało, kiedy nagle na placu boju z tyłu naszych ukazało się trzy świeże roty, co siłę moskiewskiej piechoty podniosło do liczby 13 rot, a przytem przyszło zawiadomienie, że jeszcze podobno więcej ma nadciągnąć nieprzyjaciela. Moskale wtedy przypuścili świeży atak, nasi zostali w krzyżowy ogień wzięci. Oddział nasz rozdzielił się na dwie części, z których większa pod dowództwem pułk. Callier obróciła się, aby powstrzymać natarczywość świeżo przybyłych rot Moskali. Mniejsza zaś pod komendą pułk. Raczk. stawiała czoło dawniejszemu wojsku. Walczono zacięcie. Dzielny i nieodżałowany kapitan Kranich został zabity, major Gruszczyński wedle swego zwyczaju najhaniebniej zemknął. Temu Gruszczyńskiemu jako z regularnego wojska, to jest moskiewskiego, powierzano zawsze jakieś komendy, a nie było bitwy żeby zaraz na początku nie umknął, ale tak zręcznie, że nikt nie mógł powiedzieć, gdzie i kiedy zniknął. Po bitwie, zwłaszcza też wygranej, zaraz się zjawił napowrót, tłómacząc się, że został podczas boju odcięty. Szydzono z niego, wiedziano, że za pierwszym strzałem znowu umknie, a pomimo tego powierzano mu komendę. Dla naszych następców będzie to trudnem do uwierzenia, jak niemniej i to, że za opuszczenie w czasie boju powierzonego stanowiska, oficer ten nie był pod sąd wzięty i wyekspediowany tam, zkąd się nigdy już nie ucieka.

Część naszych pod dowództwem pułk. Callier, nie mogąc wytrzymać natarcia owych 3 rot świeżych, poczęła się mięszać, cofać, a następnie w zupełną poszła rozsypkę. Wskutek tego i druga część nie mogła już dalej dotrwać pod parciem tak przeważnych sił moskiewskich i zaczęła ustępować i rozsypywać się. Widząc to pułkownik Raczkowski, krzyknął: Do Kleczewa jadę! i spiąwszy konia ostrogami pobiegł traktem ku miastu, gdzie stanąwszy na wejściu do niego, był punktem, około którego poczęły się gromadzić nasze rozbitki przybywające tu znacznie krótszą drogą, bo w poprzek ogrodów i błota.— Po rozproszeniu się naszych, kawalerya moskiewska popędziła cwałem za nimi, lecz że nasi pędzili ku miastu naturalnie z nadzwyczajną szybkością i to przez kapustniki doskonale uprawne, a zatem z głębokiemi bruzdami, a nadto poprzecinanemi smugami błotnistemi, więc też na takim gruncie pogoń kawaleryi była bezskuteczna i nasi ją dobrze wyprzedzili.

Około pułkownika Raczkowskiego zebrało się w mieście 30 strzelców i 11 kosynierów, w której to liczbie znalazło się dwóch młodych podporuczników: L. Nowacki i Drogowski, oraz porucznik Jan Ligman. Do tej liczby dodawszy jeszcze młodego adyutanta Franciszka Dąbskiego z Poznańskiego, było razem wszystkich ludzi 42, z którymi pułkownik Raczkowski, uformowawszy pluton i kazawszy nabić broń, przedsięwziął odwrót dokonać. Waleczna ta garstka, przechodząc przez miasto Kleczew, spotkana była przez obywateli Mojżeszowego wyznania, którzy stojąc na ulicy, podawali naszym mleko, wódkę i i różne jedzenia, czem się też nasi w przelocie jak można było posilili i orzeźwili nieco. Już nasi wyszli z miasta, maszerując plutonem szerokości traktu do Sleszyna idącego, kiedy ujrzeli dwa szwadrony moskiewskich huzarów, szarżujących z ulicy. Pułk. Raczkowski zakomenderował: stać! ponieważ nasi poczęli wołać, że najlepiej się rozbiedz na wszystkie strony, bo teraz tylko tak się można uratować. Pułkownik kilku słowami wlał w nich otuchę, zaręczając, że jeżeli się dobrze będą trzymać to nietylko że żaden z nich nie zginie, ale jeszcze Moskali odeprą, kiedy przeciwnie w ucieczce wszystkich Moskale wymordują. Słowa te trafiły do przekonania, już nikt nie myślał o ucieczce, tylko o obronie. Pułkownik więc teraz zakomenderował: Lewo w tył, zwrot! Kosyniery stali przez to w pierwszym szeregu z podniesionemi kosami do ataku, strzelcy zaś w drugim szeregu z karabinami opartemi na ramieniu kosynierów. Teraz poszła komenda dalsza: Strzelać po połowie, brać na cel piersi koni! — I żeby jeszcze swój oddziałek zachęcić, powiada pułkownik: Nie strzelajcie, aż ja wprzód strzelę na znak, że pora. Kiedy huzary były już na jakie tylko 60 kroków odległe, pukownik Raczkowski wyjechawszy przed front z boku plutonu palnął z rewolweru do Moskali.—O zleciał! zleciał! panie pułkowniku,— zawołali strzelcy z najwyższem ukontentowaniem, kosyniery do rozpuku się śmiali, że trębacz moskiewski spadł z konia od tego wystrzału. Ten mały wypadek dodał ogromnie odwagi poczciwej młodzieży, która największe zaufanie w swym dowódcy położyła. Pokazuje to jak nie należy żadnych choćby najbagatelniejszych na pozór zaniedbywać sposobów, aby w ciężkich razach podnieść ducha w młodzieży, co tak łatwo można u nas dokazać, kiedy tylko dowódca ma dobrą wolę po temu. — Jednocześnie z temi radośnemi okrzykami, że trębacz spadł z konia, posypały się strzały naszych regularnie wedle komendy, a że wyjście z ulicy było dość wązkie a huzary blisko, więc z powalonych ludzi i koni strzałami usypała się tama niepodobna do przebycia dla reszty kawaleryi. Nasi poczęli się cofać znowu korzystając z zamięszania jakie Moskalom sprawili, którzy ze zbitej kupy z ludzi i koni zabitych, rannych lub upadłych tylko musieli się wydobyć, uporządkować i dopiero obszedłszy domy miasta, traktem Sleszyńskim podążyć za naszymi, co im dobry kwadrans czasu zabrało. Wydobywszy się huzary na trakt przypuścili powtórną szarżę. Nasi teraz rezolutniej na komendę zatrzymali się pod figurą przy drodze i poczęli sypać regularnie ogniem na nacierających. I huzary znowu licznemi stratami w ludziach i koniach powstrzymani w zapędzie, cofnęli się z niekorzystnej dla szarży drogi, okopanej rowami, a za ich przykładem kozacy i obieszczycy mocno ostygli w swym zamiarze oskrzydlenia z boku naszej dzielnej garstki, złożonej z młodych partyzantów ciągle i dość celnie obstrzeliwających się na około. Moskale wtedy podsunęli swe działa, z których ze dwadzieścia kilka razy kartaczami i granatami strzelili do naszych bez zrządzenia im najmniejszej szkody. Nasi pewni siebie teraz, uradowani powodzeniem i jak to zwykle młodzi przekonani, że żaden z nich nie zginie, ponieważ im to dowódca zapewnił, a co się też na szczęście zupełnie sprawdziło, poczęli w największym porządku robić dalszy odwrót, nie będąc już więcej z bliska atakowani, tem też więcej, że się noc zbliżała. Są chwile, że nie wielki oddziałek, ale ożywiony zapałem, może stosunkowo wiele zrobić, i nasi też nie byli w tej chwili łatwym orzechem do zgryzienia i nie wahaliby się stawić mężnie czoła choćby i całej kawaleryi tu będącej. — Garstka ta dzielna stojąca pod figurą,

przy drodze i z taką pewnością siebie odpierająca szarżę huzarów, a potem drwinkująca sobie z wystrzałów armat moskiewskich, to bardzo piękny temat dla malarza polskiego, coby chciał odwrót z pod Kleczewa przedstawić. — Po drugiej szarży do odwracającej gromadki naszych wyjechał z boku, z nie bardzo odległego lasu, pułkownik Callier w trzydzieści kilka koni. Na nieszczęście na pierwszy wystrzał armatni, konie uniosły w galopie wszystkich jeźdźców (naturalnie prócz pułk. Raczkowskiego i jego adjutanta), którzy się nieoparli aż w Sleszynie, unikając tego niemiłego im huku działowego.

(C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Ciąg dalszy.*)

Zresztą to trup ludzki, o wiele nadto wątły, martwy zupełnie i w śmierci niepiękny. Z tym trupem, z trupem płci innej, ciężkim i zimnym, obrało sobie dziewczę mieszkanie. Włos swój zakryło, włosiennicę pewno wdziało, i mieszka z rozkładem. To niewinna pokutnica. Lice ma promienne; omal że się nie uśmiechnie, patrząc na śmierć. Twarz ledwo zamyślona. Ruch rąk zaledwo żal wyraża. Gdy dziś staniemy przed tym posągiem, podziwiamy wykonanie, narzekamy na papierowe ciało Chrystusa, a owego łagodnego, choć nie obojętnego tu szczęścia obok pokuty i śmierci, nie pojmujemy, my dzieci wieku. Temu trzysta lat pojęto jeszcze łatwo myśl młodego mistrza, bo wiedziano, ze gorąca wiara i miłość każdy smutek łagodzą. Duchy chrześciańskie mogły się cieszyć jasnym obrazem piękna, przemawiającym do jasnego florentyńskiego rozumu, ale w życiu doczesnem nie szukali szczęścia. Ono im ciężyło, śmierć obiecywała wyzwolenie, a grób był bramą do promiennego świata wymarzonego przez Leonarda. Więc patrzyć w śmierć rzeczą nie straszną. Więc umarłych nie opłakiwano, a tylko siebie żałowano, gdy po ukochanej istocie zostano na ziemi. A własny smutek nigdy nie rodził goryczy, bo miłość i wiara sprowadzały Boga pocieszyciela.

Taki ustrój dusz był rzadkim, ale myślano, że takim być winien ustrój każdej duszy. Taką tedy duszę pokazał Michał w tym posągu, a sądzono, że to dusza piękna, bo wyższa nad niepokoje życia, i nosząca na sobie piętno wszechmocnego Zbawiciela chrześcian.

W kościele *Santa Maria Sopra Minerva* w Rzymie stanął olbrzymi Chrystus wykuty z marmuru. Ciało ma mocne, nagie, spokojne, młode i boskie. Takie ciało Jowisz miewał i taką miewał twarz. To samo ujrzysz czoło, te same włosy lwie, te same na brodzie kędziory, i muszkuły owe niestrudzone, i owe ramiona; i Fidyaszowskie ujrzysz wykonanie. Są rany na ciele, ale te rany nie bolą. Nie wiedzieć, czy to boska natura ból zwyciężyła, czy tu ból zwyciężyła miłość.

Chrystus sparł się całą lewicą o krzyż, nogę jednę wysunął naprzód, okiem szuka ludzi, a prawą ranną ręką wskazuje krzyż. Rany, i krzyż, i spojrzenie, to wyrzut wieczny. One mówią: „Dla was umarłem, a wy wciąż grzeszycie". Gdy do góry zagięte ramię zadrze — wszak wiecie — niebo jak listek się zwinie. Wieniec cierniowy, jakby z grzechów naszych ludzką dłonią pleciony spoczął na czole, ale nie ma tam ani wyrzutów, ani gniewu. Gdyby zmarszczył brwi, wiecie, drżał by świat, ale czoło spokojne, jak sklep nieba. I okiem i ruchem woła: „Chodźcie do mnie, a dam wam szczęście, co w męce mojej i w znaku krzyża!"

W tych posągach stanęły już namacalnie przed nami ideały toskańskie. Ciała tu doskonałe natchnione szczęściem chrześciańskiem, co czuje wprawdzie pewien smutek, ale raduje się w Panu. To jednak nie zadawalniało jeszcze Michała Anioła. Z powrotem z Rzymu wystawił Buonarotti Dawida, przed *Palazzo Vecchio*. Dziś przeniesiono posąg do akademii florentyńskiej.

Posąg to marmurowy, wysoki na jakich stóp kilkadziesiąt: Pachołek Dawid wyrósł na olbrzyma. Anatomia tu doskonała i kształty idealne, ale dziwnie kolosalne, i rzeźbione jakby z nadludzką siłą, młotem olbrzyma. Linie ogromne pędzą do góry jakby w architekturze. Wszystko tu naprężone pędem czynu i tchnieniem życia. Posąg powstał widocznie z opoki, której ostre załomy przechował. Ni wola ludzka, ni ludzka namiętność nie zdołałyby poruszyć tego kamiennego, niezmiernego ciała. To niby twór wulkanów przedpotopowych, co wprost z boskiej wyszedł pracowni, bezbarwny, ujęty w duchowne, idealne linie toskańskiej matematyki. Głaz ów żyje życiem ciał niebieskich i nieubłaganych liczb.

A jednak moc owa drga cała. Nawet włos jest w niepokoju. Jedna noga wzniesiona jak do szybkiego chodu, lewa ręka zgięta do góry od łokcia począwszy, kułak ściśnięty i żyły naprężone. Głowa z lekka pochylona, czoło naprężone uwagą, usta otworzone jakby w gniewie, a oko olbrzyma coś śledzi, z uwagą, z trwogą prawie, lecz z trwogą ową, co wściekłą daje odwagę.

Goliat przyszedł do tego Dawida. Coś niewysłowienie potężnego, coś niezmiernego stanęło przed ową mocą i wzbudziło ją. Jakaś kamienna dusza odezwała się w piersi z kamienia, zadrżała nieskończoną trwogą, podziwem i gniewem, wywołała wolę nadludzką, pokurczyła muszkuły i wzbudziła posąg do boju. Dawid mierzy przestrzeń, co go od wroga nieskończonego dzieli, grot ma w pogotowiu i wnet we wroga ciśnie opoką. I któż owe uczucia zmierzy, któż będzie śmiał patrzyć na walkę, co się rostrzyga?

Michał Anioł sam staczał walkę podobną, szukał widomej formy Boga, a że to było zadanie nadludzkie, płonął nadludzką tęsknotą i olbrzymim niepokojem. Tymczasem, zanim Boga wykona wymarzonego, przedstawił nam postać nadziemską, miotaną przez nadziemskie moce duszy, i mierzącą się z czemś niewidomem a większem jeszcze. Groza nasza wobec tego Dawida przemieniłaby się w strach, gdyby kolos o kolosalnej duszy zważał na nas. Bryła opoki każe się domyślać mocy ducha, co nią miota, a ten niepokój jawi nam światy nieskończenie wyższe od naszego, a dążące gwałtownie jeszcze wyżej,

Także nie człowiekiem jedno odwiecznym głazem, pełnym ducha św., jest Mojżesz, co oglądał Boga, i powstaje pełen wzgardy dla ludzi. Ten Mojżesz ma nawet kości skamieniałego mamuta. Ten twór miotany duchem, a wyszły z łona przyrody, nie ma nawet kształtów ludzkich. To olbrzymi twór przedpotopowy jakiś, co z pod ziemi wyszedł, poczwarny i brzydki, to moc, ślepa przed chwilą, dziś pełna ducha, przed którą pękła twarda skorupa ziemi, i co wyszła z ciemności.

Patrzcie nań dobrze. Czoło ogromne, cofnięte w tył, puchnie i wzdyma się tak, że zeń wyrosły rogi krystaliczne, w których się białe promienie łamią. I twarz cała długa z opoki kuta; to co u ludzi nosem zwie się, niekształtne, a u ust loki jakieś, niby wąsy, i broda głazu, niby stalaktyty, spadają z głowy i płyną na pierś i kark, jak to czynią w podziemnych pieczarach, a prawa ręka chwyta je u dołu, i trzęsie niemi, synami wieków.

Ale czy to ręka? Czy to ramiona z niewidzianych spadły barków? Takich łokci nie widziała przyroda. Ostre one a olbrzymie, a żyły na nich jakby żyły matki ziemi.

Cała postać siedziała dotąd, ale wstaje. Ona się ruszy i zadrży ziemia, co taki płód wydała. Dziwne fałdy obie kryją nogi, ramiona niby tylko i głowę pozostawiły nagie, a każdy muszkuł głazu pokazują, i w koło nóg całych obwijają się, łącząc fałdzistość wschodu z obcisłością zachodu. Mojżesz okiem nas mierzy i powstaje brwi zmarszczywszy. Jest w nim gniew, i jest namiętność.

Dawid i Mojżesz przedstawiają drugą epokę twórczości artystycznej Michała Anioła. W niej Buonarottemu chodziło o przedstawienie nadludzkiej siły, goniącej za siłą wyższą. Z poświęceniem idealnej piękności tworzył obraz mocy nadludzkich, wymarzonych przez mistyków średniowiecznych, a szukających niecierpliwie Boga i prawdy. To wizerunki prawdziwe nie spoczywającego nigdy, potężnego, badawczego ducha Toskany.

Już pierwsze utwory młodego mistrza najnamacalniej okazały światu ideał, wylęgły w głowie toskańskich malarzy. W marmurze żyły pełnem życiem, a dzięki bezbarwności materyału nie traciły na duchowości. Prócz tego rzewne, na wskróś chrześciańskie uczucie boleści zwyciężonej choć uczutej, przypominało w nich pierwotne mistyczne dążenia toskańskiej sztuki. Później Michał Anioł szukał burzliwie nowej drogi, tworząc rzeczy tak kolosalne, że się stają poczwarnemi prawie. Teraz stanął już u celu i wydał na świat najdoskonalej urzeczywistnione marzenia już nie współczesnych artystów tylko, ale całej starodawnej toskańskiej sztuki.

Najpierw wypada mówić o suficie sykstyńskiej kaplicy w Watykanie. Dawid i Mojżesz szukali Boga, tu ujrzymy mnogie postacie, znające go i rozmyślające nad Jego doskonałością.

Mojżesz ujrzał Go już raz — ale jeszcze Go nie przenikął, a tu ujrzymy kolosalne wyobrażenie samego Twórcy. Dotąd widzieliśmy tylko posągi marmurowe — teraz zobaczymy malowidła ścienne. W tym samym Rzymie rzeźbił *Buonarotti* namiętnego olbrzyma o brzydkiej postaci i przenikającym wzroku, rogatego i poczwarnego, w kościele świętego Piotra w łańcuchach, i malował spokojnych i doskonale pięknych olbrzymów w nadwornej kaplicy wspaniałych miłośników sztuki, następców Piotra rybaka.

Kaplica sykstyńska jestto długa sklepiona sala. Malowidła Michała Anioła są na sklepieniu i trudno przeto na nie patrzyć — trudniej je rozpoznać bez pomocy zwierciadła. Przez środek długiego sklepienia biegną mniejsze i większe na przemian pola kwadratowe, na których przedstawiono: rozdział światła i ciemności, stworzenie ciał niebieskich, rozdział ziemi i morza, stworzenie Adama, stworzenie Ewy, grzech pierworodny i wypędzenie z raju (na jednem polu), potop powszechny, i pijaństwo Noego. Te przed-

mioty uzupełnione przez trójkątne pola w rogach sklepienia, w których widać wieżę Babel, Kaina i Abla, pożar Sodomy i Gomory, i węża ze spiżu. Przedmioty te tylokrotnie już malowane i rzeźbione przez Florentczyków otoczone architektoniką wielką pojedyńczych, zupełnie posągowych postaci, i misternych gzymsów.

W dolnej części sklepienia, przy murach okalających kaplicę, siedli na gzymsach prorokowie i sybille. Na takich gzymsach nie daliby sobie śmiertelni ludzie radę; zawrót porwałby ich niezawodnie i ściągnąłby ich w otchłań, a to tem pewniej, że tam u góry wichr wieje przez przestrzenie.

Ale oni tam siedzą spokojnie, bo nie mają udziału w śmiertelnej naturze. Są to olbrzymy, jakich oko nie widziało — w istocie kilkosążniowi, ale dla myśli zupełnie niezmierni, znajdujący się po za rozmiarami ziemskiej kaplicy. Za pomocą cudu techniki, perspektywa ciał ich zupełnie niezawisła od linii sklepienia; a choć to postacie dziwnie plastyczne, i niemniej plastyczne od posągów, i ich rysunek, i jasność toskańska, w której przebywają, wyrywają je zupełnie z otoczenia cielesnego. (C. d. n.)

Do konserwatystów.

Nasza wolność! nasze blaski!
Och! wrócą powoli.
Lecz nie z waszej króle, łaski!
Tylko z ludów woli.

Dziś już krzywda ich wiekowa
Zwycięzki bój toczy....
Zachowawcy! do was mowa!
Do was, prosto w oczy.

„Polska jest konserwatywna.“
„Polska klerykalna.“
Taka o nas wiara, dziwna,
W świecie, a fatalna!

I serc miljon, zniechęcony,
Tchnie ku nam goryczą,
I cofają się miljony
Ramion, co nam życzą.

Co? co? my, przeciwko ludom?
Fałsz! Kto nas bezcześci?
Przeczy naszej krwi i trudom?
Kto szerzy te wieści?

To wy! wasza liga cała,
Zachowawcy! wsteczna,
Opieką królów zuchwała,
Trucizną waleczna.

Stoicie na Polski grobie,
Z piersią pełną chłodu,
Gardłujcież o samych sobie!
Wam nie do narodu!

Wasze znamie: gwałt i zdzierstwo;
Jest was sto tysięcy.
Nasze: równość i braterstwo;
Miljon nas i więcej.

Więc milczeć! nie w waszej dłoni
Ojczyste sztandary!
Milczeć wam, i chylić skroni,
W przededniu ofiary!

. . . .

Stanie pręgierz dla zgnilizny,
Ockną się sumienia,...
Będziecie wy u Ojczyzny
Żebrać przebaczenia!

M. Rodoć.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ X.

W którym z lunetą przed okiem i sondą w ręku szuka się śladów prowincyi algierskiej.

Dobryna, doskonale i mocno zbudowana w warstatach na wyspie Wight, była wybornym statkiem dwóchset beczek objemu, najzupełniej wystarczającym do żeglugi na około świata. Kolumb i Magellan pewno nie mieli statków ani tak wielkich, ani tak mocnych, gdy zaawanturowali się na Ocean Atlantycki i Spokojny. Oprócz tego *Dobryna* miała w swych magazynach żywność na kilka miesięcy — co w razie potrzeby pozwalało jej opłynąć morze Śródziemne, nie zaprowiantowując się po drodze. Dodać do tego należy, iż nie było potrzeby dodawać jej balastu na wyspie Gurbi. Gdyż jeżeli sama mniej ważyła, jak wszystkie materyalne przedmioty od czasu katastrofy, to i unosząca ją woda również była lżejszą. Stosunek zatem obu ciężarów był zupełnie ten sam, *Dobryna* znajdowała się w jednakich warunkach pod względem żeglarskim.

Hrabia nie był żeglarzem. Ztąd też dowództwo na galiocie należało do porucznika Prokopa.

Porucznik ten był to człowiek trzydziestoletni. Urodzony w majątku hrabiego, z ojca usamowolnionego jeszcze na długo przed głośnym carskim ukazem, wdzięcznością i przyjaźnią powodowany, oddał się on duszą i ciałem hrabiemu. Doskonały marynarz, wyćwiczywszy się w swym zawodzie na okrętach rządowych i kupieckich, ze stopniem porucznika przeniósł się na *Dobrynę*. Na pokładzie tego to statku podróżował z hrabią przez większą część roku, zimą opływając morze Śródziemne, latem żeglując po morzach północnych.

Porucznik Prokop był człowiekiem bardzo wykształconym, nawet poza obrębem swego zawodu. Zaszczyt przynosił on hrabiemu i sobie, nabywszy wiadomości godnych tego, kto go kazał kształcić. Nie mogła *Dobryna* być w lepszych rękach. Oprócz tego załoga jej była wyborowa. Składała się ona z mechanika, czterech majtków i kucharza, którzy wszyscy byli niegdyś poddanymi hrabiego i następnie pozostali w jego usługach, zgodnie z tradycyą. Marynarze ci nie wiele dbali o zamęt, jaki się pojawił w porządku fizycznym, od chwili jak pan ich podzielał z nimi ich losy. Co do porucznika Prokopa, to ten mocno się trwożył i dobrze wiedział, iż i hrabia w głębi duszy doznawał takiegoż niepokoju.

Dobryna więc żeglowała na zachód, poruszana żaglami i parą, ponieważ wiatr był pomyślny i pewno że pędziłaby z szybkością jedynastu węzłów na godzinę, gdyby wysokie fale w każdej chwili nie hamowały tej szybkości.

W samej rzeczy, pomimo że wiatr dmący ze wschodu — teraźniejszego zachodu — był tylko zwykłym pomyślnym wiatrem, morze było, jeżeli nie bardzo wzburzone, to przynajmniej bardzo rozruszane. Łatwo to było zrozumieć. Cząstki płynne, mniej ważkie, dzięki mniejszemu przyciąganiu masy ziemskiej, wznosiły się wskutek prostej oscylacyi na ogromną wysokość. W swoim czasie Arago, który wykazywał, że siedm do ośmiu metrów stanowi możebną wysokość najwyższych fal, szczególnie byłby zdumiony, widząc je wznoszące się na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stóp. A nie były to owe bałwany odskakujące po spotkaniu się, ale długie, ciągłe falowanie, czasami podnoszące galiotę na dwadzieścia metrów ponad poziom. *Dobryna*, również mniej ciężka od czasu zmniejszenia się atrakcyi, wznosiła się z większą łatwością i gdyby kapitan Servadac podlegał morskiej chorobie, to niezawodnie rozchorowałby się przy takich warunkach.

Uchylania się te jednak od poziomu nie odbywały się raptownie, gdyż wynikały tylko z fal nadzwyczaj wydłużonych. Wogóle więc galiota nie nużyła więcej, aniżeli gdyby była narażona na kołysanie się zwykłych krótkich i ostrych fal morza Śródziemnego. Jedyną niedogodnością nowego stanu rzeczy było przedewszystkiem zmniejszenia się normalnej szybkości statku.

Dobryna płynęła w odległości dwóch do trzech kilometrów od linii, jaką przedtem zajmowało wybrzeże algierskie. Na południu nie ukazywał się żaden ląd. Pomimo że porucznik Prokop nie mógł określać położenia galioty z obserwacyi planet, których odnośne stanowiska były zmienione i z położenia słońca nad horyzontem nie mógł wyrachować pod jaką długością i szerokością znajduje się, ponieważ rezultat jego rachunku nie mógł być z korzyścią przeniesiony na mapy, ułożone według dawniejszego systemu kosmograficznego, jednak droga *Dobryny* mogła być określona poniekąd w przybliżeniu. Z jednej strony wyrachowanie przebieżonej przestrzeni za pomocą tak zwanego *loch*, z drugiej kierunek, dokładnie wskazywany przez bussolę, wystarczały dla tej niewielkiej żeglugi.

Nadmienić potrzeba, że na wielkie szczęście bussola ani na chwilę nie uległa niezwykłym zmianom. Wypadki kosmiczne nie miały żadnego wpływu na igłę magnesową, zawsze wskazującą magnesową północ w tych okolicach w odległości około dwudziestu dwóch stopni od północy świata. Jeżeli zatem wschód i zachód zastąpiły jedno drugie, w tym sensie, że słońce wschodziło na zachodzie, to północ i południe niewzruszenie zachowały swe stanowiska w rozkładzie punktów kardynalnych. Można więc było stosować się do wskazówek bussoli w braku sekstanta, którego użycie stało się niemożebnem — przynajmniej tymczasowo.

W ciągu tego pierwszego dnia poszukiwań porucznik Prokop, więcej biegły pod tym względem aniżeli oficer sztabu głównego, wyjaśnił te rozmaite szczegóły w obecności hrabiego. Po francusku mówił doskonale. Naturalnie, że rozmowa przeszła na owe fenomena, których przyczyny nie mógł jeszcze dociec porucznik Prokop, tak samo jak i kapitan Servadac. Owoż mianowicie w samym początku, była mowa o nowej orbicie, jaką zakreśla kula ziemska w przestrzeni świata słonecznego od 1 stycznia.

— Widocznem jest, kapitanie, powiedział porucznik Prokop, że ziemia nie krąży zwykłą drogą dokoła słońca, które nieznana jakaś przyczyna szczególnie przybliżyła.

— Jestem tego najpewniejszy — odrzekł kapitan Servadac, — teraz zachodzi pytanie, czy przeciąwszy orbitę Wenery nie przetniemy potem orbity Marsa!...

— Ażeby w końcu spaść i zginąć na słońcu, dodał hrabia.

— Byłby to upadek, upadek straszliwy! — zawołał kapitan Servadac.

— Nie — odrzekł porucznik Prokop — sądzę, że nie upadnięcie zagraża ziemi w tej chwili! Nie pędzi ona ku słońcu i niezawodnie inną linię opisuje dokoła niego.

— Czy masz jaki dowód na poparcie tego przypuszczenia? — zapytał hrabia.

— Mam, ojcze — odrzekł porucznik Prokop — dowód, który i ciebie przekona. Gdyby to było spadanie kuli ziemskiej, to ostateczna katastrofa nastąpiłaby w krótkim czasie i już bylibyśmy niezmiernie przybliżeni do przyciągającego nas punktu. Gdyby to było spadanie, to szybkość, która skombinowana z działaniem słońca, każe krążyć planetom po elipsach, natychmiast byłaby zniszczona i ziemia w ciągu sześćdziesięciu czterech dni i pół spadłaby na słońce.

— Cóż pan wnosisz z tego? — zapytał kapitan Servadac.

— Że niema spadania — odrzekł porucznik Prokop. Bo przecież upłynął już przeszło miesiąc jak orbita jej została zmodyfikowaną, a kula ziemska zaledwie przekroczyła orbitę Wenery. A więc w tym przeciągu czasu przybliżyła się do słońca tylko na jedynaście milionów mil, z trzydziestu ośmiu, stanowiących promień ziemski. Jestto okoliczność bardzo szczęśliwa. Zresztą mam powody do przypuszczenia, że poczynamy oddalać się od słońca, ponieważ temperatura stopniowo zmniejsza się i gorąco nie jest teraz silniejszem na powierzchni wyspy Gurbi, aniżeli byłoby w Algieryi, gdyby Algierya znajdowała się pod trzydziestą szóstą paralelą.

— Wywody pana muszą być słuszne, poruczniku — odrzekł kapitan Servadac. Nie! Ziemia nie spada na słońce: krąży ona jeszcze dokoła niego.

— Ale niemniej widocznem jest — odparł porucznik Prokop, że wskutek kataklizmu, którego przyczyny napróżno szukamy, morze Śródziemne, tak jak i wybrzeże afrykańskie, nagle przeniesione zostało pod strefę równikową.

— Jeżeli istnieje jeszcze jakie afrykańskie wybrzeże — dodał kapitan Servadac.

— I morze Śródziemne — dorzucił hrabia.

Wszystko to były kwestye do rozwiązania: w każdym razie zdawało się pewnem, że w obecnej porze ziemia oddalała się powoli od słońca i że nie było powodu do obawy spadnięcia na powierzchnią tego atrakcyjnego punktu.

Ale co pozostało z tego kontynentu afrykańskiego, którego choćby najmniejszych śladów wyszukiwała galiota?

We dwadzieścia cztery godzin po opuszczeniu wyspy, *Dobryna* widocznie musiała wyminąć punkta, które powinny były zajmować na tem wybrzeżu algierskiem Tenez, Cherchell, Kolech, Sidi Ferruch. Żadne jednak z tych miast nie ukazało się w lunetach. Morze zalegało bez granic, tam gdzie kontynent powinien był wstrzymać jego fale.

Porucznik Prokop nie mógł się omylić jednak co do kierunku, jaki nadał *Dobrynie*. Zastanowiwszy się nad wskazówkami bussoli nad dość stałym wiatrem, nad szybkością galioty, jak również nad zrobioną drogą w dniu tym, 2 lutego mógł powiedzieć sobie, że znajduje się pod 36° 47′ szerokości i 6° 44′ długości, to jest w miejscu, które powinna była zajmować stolica Algieryi.

A Algier, tak samo jak Tenez, Cherchell, Koleah, Sidi-Ferruch pogrążył się w głębiach kuli ziemskiej.

Kapitan Servadac ze zmarszczonemi brwiami, zaciśniętemi ustami, gniewnem okiem spoglądał na niezmierne morze, zalegające przestrzeń bez granic. Wszystkie wspomnienia życia przyszły mu na myśl. Serce biło gwałtownie. W tem mieście, w Algierze, gdzie przeżył długie lata, miał towarzyszy, przyjaciół, których już więcej nie zobaczy. Myśl jego przeniosła się do rodzinnego kraju, do Francyi. Zapytywał sam siebie, czy straszliwy kataklizm aż tam rozpostarł swe spustoszenia! Potem starał się wśród tych wód bezdennych wyszukać ślady pochłoniętej stolicy.

— Nie! — zawołał, — taka katastrofa nie jest możebną! Miasto nie znika tak całkiem! Znajdą się jego szczątki! Z Casbachu, z fortu cesarskiego, zbudowanego na wysokości stu pięćdziesięciu metrów, musiała jakaś część pozostać ponad wodami i jeżeli tylko cała Afryka nie zstąpiła do wnętrza kuli ziemskiej, musimy koniecznie odszukać jej ślady!

Była to w samej rzeczy okoliczność nadzwyczajna, że najmniejszy szczątek nie unosił się nad powierzchnią morza, ani jedno z tych złamanych drzew, których gałęzie płyną za ruchem fal, ani jednej deski ze statków, które stały na kotwicy we spaniałej zatoce, szerokiej na dwadzieścia kilometrów, która przed miesiącem znajdowała się między przylądkiem Matifou i cyplem Pescade!

Ale jeżeli wzrok zatrzymywał się na powierzchni wód, czy nie można też było zbadać je sondą i starać się wyciągnąć jakie ślady miasta, które znikło tak dziwnie?

Hrabia nie chcąc, by jaka wątpliwość pozostawała w umyśle kapitana Servadac, dał rozkaz zapuszczenia sondy. Ołów sondy wysmarowany został łojem i spuszczony na dno.

Ku nadzwyczajnemu zdziwieniu wszystkich, a szczególnie porócznika Prokopa, sonda wskazała dno prawie stałe, o cztery czy pięć węzłów tylko pod powierzchnią morza. Zapuszczano sondę przez dwie godziny na obszernej przestrzeni, a nigdy nie wykazała się różnica w poziomie, jaki powinnaby była przedstawiać powierzchnia Algieru, zbudowanego amfiteatralnie. Czyż należało przypuścić, że po katastrofie wody zniwelowały całą miejscowość, gdzie była stolica Algieryi?

Było to bardzo nieprawdopodobnem

Co do dna morskiego, to takowe nie było utworzone ani ze skał, ani z piasku ani z muszli Sonda wyniosła na powierzchnię tylko rodzaj metalicznego pyłu, odznaczającego się złocistym połyskiem, ale którego natury niepodobna było określić. W każdym razie nie było to podobne do tego, co zwykle sondy wykazują na dnie morza Śródziemnego.

— Widzisz pan, poruczniku! — rzekł Hektor Servadac. Jesteśmy dalej od algierskiego wybrzeża, aniżeli pan przypuszczałeś.

— Gdybyśmy byli dalej od niego, — odrzekł porucznik kiwając głową, to mielibyśmy nie pięć węzłów głębokości, ale ze trzysta.

— A więc?... zapytał hrabia.

— Niewiem, co myśleć o tem.

— Panie hrabio — rzekł kapitan Servadac — proszę pana o łaskę, byśmy popłynęli nieco na południe, czy nie znajdziemy dalej tego, czego tu szukamy napróżno.

Hrabia rozmówił się bezwłocznie z porucznikiem Prokopem; a ponieważ pogoda była sprzyjająca, postanowiono, że w ciągu trzydziestu sześciu godzin *Dobryna* żeglować będzie w kierunku południowym

Hektor Servadac podziękował swemu gospodarzowi i nowa droga została sternikowi zalecona.

Przez trzydzieści sześć godzin, to jest do 4 lutego, badano tę część morza najskrupulatniej. Nie poprzestano na spuszczaniu w te podejrzane wody sondy, która wszędzie wskazywała dno płaskie na głębokości czterech do pięciu węzłów, ale dno to było prute żelazami czerpakami, które nie napotkały ani razu ani obciosanego kamienia, ani szczątków jakiego metalu, ani kawałka odłamanej gałęzi, ani nawet żadnego z tych mięczaków, któremi zwykle usiane jest dno morskie. Jakież to dno zastąpiło w ten sposób dawniejsze dno morza Śródziemnego?

Dobryna spuściła się aż do trzydziestego szóstego stopnia szerokości. Sprawdzając z mapami, przekonano się, że żegluje tam gdzie powinno było znajdować się Sahel, wyżyna oddzielająca morze od bogatej równiny Mitidja, tam gdzie niegdyś wznosił się szczyt Buzareah na czterysta metrów! A jednak nawet po pochłonięciu ziem okolicznych, szczyt ten powinienby ukazywać się jak wysepka ponad tym Oceanem!

Dobryna popłynęła dalej po za Duerę, główne miasto w Saleh, po za Bufarik, miasto o szerokich ulicach, ocienionych kasztanami, po za Blidah, którego nawet nie dojrzano twierdzy, wyższej o czterysta metrów od Olled-el-Kebir!

Porucznik Prokop obawiając się zapuszczać dalej na to morze zupełnie nieznane, zażądał powrotu na północ, lub na wschód; ale na prośby kapitana Servadac *Dobryna* popłynęła jeszcze dalej na południe.

Poszukiwania przedłużono aż do gór Muzaia z legendowemi grotami, gdzie przebywali niegdyś Kabyle, a które porosłe były rozmaitemi rodzajami dębu, zamieszkałe przez hyeny kozy i szakale!... Najwyższy ich szczyt, wznoszący się przed sześcia tygodniami między Bu-Rumi a Chifą, powinienby wynurzać się znacznie po nad wodami, ponieważ przenosił tysiąc sześćset metrów!... Nic nie dostrzeżono ani w tem miejscu, ani na horyzoncie, na którym niebo zlewało się z ziemią.

Trzeba było powrócić na północ i *Dobryna*, skręciwszy na miejscu, znalazła się na wodach Śródziemnego morza, nie odkrywszy ani śladu tego co dawniej stanowiło prowincyę algierską.

(C. d. n.)

PLOTKI I NIE-PLOTKI

WARSZAWSKIE.

II.

(Ciąg dalszy.)

W każdym ucywilizowanym narodzie jest od dawna zorganizowane stronnictwo postępowe, które ster prac odradzających społeczeństwo trzyma w swych rękach, a pełniąc swe obowiązki, jest zarazem kontrolą i hamulcem dla stronnictwa konserwatywnego, aby się nie zmieniło w reakcyę! Nie idzie o to, aby stronnictwo postępowe zawsze było przy władzy, zawsze trzymało ster interesów państwa w swych rękach, lecz o to głównie, aby ono istniało i działało, bo już wtedy spełnia swe powołanie cywilizacyjne i kontrolujące. U was w Galicyi wystąpiła koterya, odrazu zajęła dominujące stanowisko i ogłosiła się panującą.

Przyjęto ten fakt w milczeniu. I oto co się stało, koterya postanowiła sterroryzować cały naród, ogłosiła się nieomylną, i szaleje z oburzenia i wściekłości, gdy znajdzie opozycyę, tem więcej, że niestety opozycya ta manifestuje się w jednej tylko choć w całej waszej prasie, i w jednem tylko, mieście! Kraj cały przyklaskuje prasie, lecz milczy — sterroryzowany i ogłupiały...

Źle się dzieje, źle — aby pięciomilionowa ludność z autonomią, sejmem i radą państwa, a po piętnastoletniem życiu parlamentarnem, pozwoliła się policzkować klice, która natrząsa z jej uczuć, i nie była zdolną wytworzyć jakiegoś choćby zawiązku poważnego, któryby wróżył na przyszłość o możności wytworzenia się stronnictwa postępowego, nie w jednem mieście, lecz w całym kraju.

Źle, źle, niedołęztwo, nędza moralna i umysłowa, brak wszelkiej odwagi cywilnej... Nie ulega wątpliwości, że sejm galicyjski prowadzony przez Stańczyków wejdzie do sali zamkowej w Warszawie z kozicami i niedoperzami. Jeżeli już nie ma innej rady, czekajcie na nowe pokolenie, tak jak my czekamy, tylko że to wasze młode pokolenie jest jakoś już strasznie *stare*, przerażająco go czuć lokajstwem i karyerą. Mówią specyaliści, że ma kręgi pacierzowe zbyt giętkie, i dla tego tak się pochyło trzyma.

Jeżeli u was, po piętnastu latach życia polityczno - parlamentarnego i wolnej prasy, takie pustki w poczciwych głowinach waszych obywateli, taki brak pierwszych zasad pojęć o prawach i kierunkach życia narodowego, pomimo rozlicznych tłómaczeń dzieł wielkich polityków i historyków, stosu broszur i codziennych artykułów dwóch dzienników!... cóż dopiero u nas, gdzie od 1830 roku wszelkie życie polityczne nie tylko że ustało, ale wszelka o nim idea — pojęcie, wymarło.

U nas, gdy najwytrawniejszemu redaktorowi pisma politycznego, historykowi, ekonomiście, lub człowiekowi, który słuchał staatrechtu dziesięć lat na uniwersytetach niemieckich, zresztą i wszyst kim innym ludziom mniej lub więcej uczonym, lub rozumnym, powiesz choćby o pożyteczności różnicy zdań w kwestyach narodowo-społecznych, w tej chwili zakrzyczą cię w imię zgody, w *imię świętej* zgody, miłości ojczyzny, lub patryotyzmu.

Wtedy odpowiadasz mu, że trzeba zgody na moje lub na jego zdanie, i że trzeba kogoś trzeciego, aby przyznał mnie lub jemu racyę, a zatem należy wypowiedzieć swe zdanie, aby uzyskać sąd! z tych to różnic zdań tworzą się... Zirytowany uczony Warszawiak, który słuchał staatrechtu przez pięć lat przerwie z impetem: Niechaj się kłócą Francuzi, Włosi, Anglicy, a my, my pracujmy w zgodzie i miłości — naprzód!...

— Cóż na to odpowiedzieć? — wzrusza się ramionami na tę naiwność i odchodzi, nabierając tego przekonania, że rzeczy najprostsze są najtrudniejsze do zrozumienia i że umiejętność życia publicznego i pojęcie jego pierwszych zasad w rządzeniu się społeczeństwa, zdobywa się tylko praktyką.

Ex re tego sielankowego zapatrywania się Warszawy na prawa życia społecznego tej monomanii zgody, dobrze jest pójść umyślnie na walne zgromadzenia rocznych zebrań któregokolwiek stowarzyszenia. Naprzód komitet traktuje stowarzyszonych, jak zgraję niewolników swych, lub stado baranów. Wszystko tam odbywa się tylko dla formy, wszystko z góry postanowione i już potwierdzone, stowarzyszeni są po to wezwani, aby im z najwyższej łaski powiedzieć o postanowieniach już zatwierdzonych, i po to tylko, aby je przyjęli w imię świętej zgody, a zatwierdzili w imię świętej miłości. Zgromadzeni słuchają tego wszystkiego w milczeniu i jednogłośnie wszystko zatwierdzają.

Gdy nadzwyczajnym przypadkiem znajdzie się na posiedzeniu jakieś śmielszej natury indywiduum i wychyliwszy łeb do góry, zaprotestuje, zażąda wyjaśnień, szczegółów, odważy się podać stokroć lepszy projekt, lub uskarży się na szalone wydatki komitetu, na komitet i administracyę... Wtedy wysoko obrażony i z najwyższem oburzeniem powstaje zwykle prezes i karci śmiałka, pobijając go — czy uwierzycie!?! swoją powagą, swym wypakowanym śniadaniami u Stępkowskiego brzuchem i swemi siwemi włosami!...

— Jeżeli już — woła do śmiałka — mnie nie szanujesz, to szanuj moje siwe włosy!...

Na takie zaklęcie robi się cicho. Zgromadzeni spoglądają z pewnym rodzajem oburzenia na interpelanta. I chwila jedna, jedno jeszcze słowo z jego strony, a gotowi go ogłosić zdrajcą wyłamującym się z karbów świętej zgody.

Nie dziwcież się teraz, że nasze stowarzyszenia (oprócz specyalnych), zacząwszy od Merkurego, rozkładają się, umierają na suchoty z braku interesu, zajęcia, rozbudzonego życia dyskusyą, zabitego zgodą. I nareszcie stają się łupem panów komitetowych o okazałych peryferyach a siwych włosach. Pamiętajcie jeszcze o tem, że komitety *poświęcają się z patryotyzmu*, lecz za to wymagają ślepego posłuszeństwa i ślepej wiary w ich nieomylność...

Oto dla czego przy szczęśliwych okolicznościach sejm wasz śmiałoby się mógł przenieść z kozicami, nietoperzami i świstakami do Warszawy i byłby w imię zgody i posłuszeństwa jak najlepiej przyjęty, choćby kraj prowadził do zguby, a naród do idyotyzmu. I dla tego hrabia Stanisław Tarnowski dopóki jest hrabią i dopóki bywanie na jego prelekcyach jest *szykiem*, a on będzie występował w imię *poświęcenia i patryotyzmu*, wiecznie będzie słuchany i oklaskiwany, chociażby lżył naszych wieszczów, choćby kopał nogami Goszczyńskiego, a maltretował Pola. Biedny Pol, czyż on się spodziewał takiej wdzięczności za swą wierną dwudziestoletnią służbę, za swe zaparcie się pieśni Janusza, właśnie dla tejże samej koteryi, i tej rzewnej, a dziarsko wyśpiewanej sympatyi dla ludu naszego i ziemi naszej.

Lecz hrabia mściciel, który sobie wziął za wzór hrabiego z Nieboskiej komedyi, postanowił wypowiedzieć wojnę nieistniejącemu Pankracemu polskiemu i gwałtem go pokonać. A ponieważ Pankracego nie ma, wyszukuje go gdzie może na obrazach i w książkach. Najprzyjemniej walczyć z niebosz̨czykami, walczy więc z nimi domniemywając się w nich ducha Pankracego. Do myślano się również Pankracego w Matejce i kąsano go przez długie lata niemiłosiernie, dopóki Matejko nie pokonał dzielnego hrabiego i jego kliki z świętej trójcy *fortecy* krakowskiej, zwycięztwem na wystawie paryskiej. Od tej chwili dano mu pokój, a jeszcze za mego pobytu w Krakowie, obiad tak nazwany *niemy*. Sam hrabia i jego armia wygłodzona, jak gdyby od świętych okopów tylko co odstąpił Pankracy, ćwiczyła z apetytem wilczym ów skromny obiadek, nie odzywając się ani słowa. Formalnie chcieli go ukarać milczeniem za Sejm Grodzieński i pewno ukarali?!

Nieustannie odbiegam od Warszawy i jej spraw, lecz znając wszystkie trzy działy Polski, zmoszę w pragnieniu mem i w myślach granice nasze. Pisząc o Warszawie, o sercu Polski, czyż można zapomnieć o całości jej organizmu. Tak się wszystko plecie i oddziaływa wzajemnie na siebie w organizmie narodu, że nawet poczytuję sobie za pewną zasługę, że pisząc o Warszawie obejmuję przestrzeń całego kraju i całego organizmu narodowego.

Dużo bardzo w naszej Warszawie po za modą i dobroczynnością znajduje się ludzi cichych a sumiennych pracowników na rzecz społeczeństwa. Oni to najlepiej reprezentują naszę ludność, przedstawiając ideał jej stron szlachetnych, a nie raz ratują honor Warszawki, zbyt lekkomyślnej i trzpiotowatej do bezmyślności.

Osady rolne dla małoletnich przestępców są tych ludzi dziełem. I pomimo, że osady rolne wyszły z mody i nie należą już do szyku, jako rzecz zbyt poważna dla Warszawy, i gdzieś odbywająca się na końcu świata, bo aż w Studzieńcu(!?), pracownicy ci nie upadają w wytrwałości.

W tych dniach, bo zaledwo tydzień temu, komitet *Osad rolnych* odbywał swe roczne posiedzenie wobec skromniutkiej liczby publiczności. Najlepszy to dowód, że osady straciły kompletnie, czyli już nie należą do *szyku*. Albowiem nie tylko, że garstka ludzi słuchała sprawozdania, ale na dwa tysiące przeszło stałych członków, uiściło wkładki zaledwo ośmiuset! Tysiąc dwieście nie płaci!

Posiedzenie otworzył prezes prof. Białecki oświadczając, że Towarzystwo jest na drodze' rzeczywistego rozwoju, i jeżeli w Studzieńcu tego roku znajduje się 35 wychowańców, na rok przyszły ma nadzieję, że będzie ich można pomieścić 60.

Z ciekawością i rozrzewnieniem słuchałem treściwego wykładu dyrektora zakładu, opisującego postępowanie z dziećmi w kolonii, metody pedagogiczne za pomocą których uczą dzieci, ich stopień umoralnienia, ich zajęcia i rozrywki.

Istotnie zakład w Studzieńcu będzie pomnikiem wystawionym szlachetnym Warszawiakom. Czemuż to wasi Stańczykowie zamiast sprowadzać ćmy jezuitów, którzy będą objadać i demoralizować Galicyę, a zawsze ją ogłupiać, nie postarają się o założenie podobnego Studzieńca... Oni i Studzieniec?! Czyż to nie pamiętam jak w rocznicę rozbioru Polski, z całą gwałtownością powstawali przeciw składkom zarządzonym na oświatę ludu. A przecież przez sam wstyd i pamięć, że wielu z ich ojców i dziadków dobrze się obłowiło przy tak zwanem regulowaniu granic pierwszego rozbioru, i tylu z tej zaszczytnej akcyi przybyło zasłużonych hrabiów ojczyźnie, przez sam wstyd powinni byli coś złożyć, choćby po rubelku, chciałem napisać po cwancygierze...

(Dok. nast.)

Piśmiennictwo polskie.

(*O zjawiskach zdwojenia w życiu duchowem człowieka, napisał dr. Juliusz Ochorowicz, docent lwowskiego uniwersytetu. Lwów 1877*)

Nie jeden z czytelników, mniej obeznany z obecnym kierunkiem psychologii, wziąwszy do rąk powyższą pracę p. Ochorowicza, który zastanawia się

*

w niej nad pewnym rodzajem chorób umysłowych, może zapytać, zkądże to przychodzi psychologowi zajmować się tem, co stanowi zadanie i obowiązek lekarza? Pytanie to wielom wyda się nawet bardzo naturalnem, skoro na psychologię będą się zapatrywać ze stanowiska dawniejszego, wymagającego od niej prostego tylko opisania władz ludzkich podług wskazówek wewnętrznej obserwacyi i mniej lub więcej udatnej władz tych klasyfikacyi. Dla tego też wprzód, zanim przystąpię do ocenienia pracy p. Ochorowicza, pozwalam sobie zamieścić tu słów kilka, które będą odpowiedzią na przypuszczalne ze strony niektórych czytelników zapytanie, a oraz usprawiedliwieniem, dla czego psycholog wdaje się w rzeczy, któremi dotąd zajmowali się wyłącznie lekarze.

Każdemu wiadomo, chociażby z codziennego na samym sobie doświadczenia, że między duszą a ciałem najściślejszy zachodzi stosunek. Pomijając wszystkie metafizyczne kwestye, jakie tu mogą powstawać, na stosunek ten, na wzajemną zależność obu stron natury ludzkiej zgadzają się tak najskrajniejsi spirytualiści, jak i pozytywiści. Ważna atoli między nimi różnica dostrzega się pod tym względem, jakie są granice wzajemnego oddziaływania na siebie duszy i ciała? Spirytualiści, chcąc rzecz wyjaśnić obrazowo, utrzymują, że stosunek duszy do ciała jest podobnym do tego, jaki zachodzi między artystą a narzędziem. W odpowiedzi na to twierdzenie, należałoby panów spirytualistów odesłać do domu waryatów... nie dla tego, by mieli być w nim zamknięci... broń mię Boże od podobnych zamiarów!... ale żeby mogli się naocznie przekonać, o ile ich mniemanie jest fałszywem i niezgodnem z rzeczywistością. Jeżeli już mamy w sposób obrazowy przedstawiać stosunek duszy do ciała, to z większą dałoby się słusznością powiedzieć, że ciało w stosunku do duszy jest tem, czem koń w stosunku do jeźdźca. Koń posłusznym jest wprawdzie jeźdźcowi, ale dopóty, dopóki ten go zażywa umiejętnie, zgodnie z jego naturą, jakkolwiek i wtedy nie zawsze jeździec może być pewnym siebie. Gdy koń weźmie na kieł, może go unieść tam, dokąd mu ani się marzyło dostać, albo co gorsza może go potratować i na całe życie okaleczyć. Od chwili, w której kwestya stosunku duszy do ciała z większą ścisłością została rozwiązaną, psychologia nie mogła pozostać na dawniejszem stanowisku. Z opisowej musiała ona stać się nauką przyrodniczą, która podane jej przez obserwacyą wewnętrzną zjawiska duszy, stara się wyjaśnić za pomocą metody doświadczalnej, rozważając je nie w oderwaniu, ale w związku z organicznemi warunkami, tak normalnemi, jak anormalnemi — ludzkiej natury. Psychologia łącznie z psychiatryą, stanowiącą tylko jej gałęź, musiały się oprzeć w swych badaniach na fizyologii i patologii. Jakoż dzięki pomocy, jaką od tych dwóch nauk uzyskała, w krótkim czasie zrobiła ona tak znaczny postęp, że wobec niej psychologia dawnego autoramentu wydaje się niemal gadaniną dziecka, które opowiada wprawdzie to, co widziało, ale w swem opowiadaniu nie zwraca uwagi ani na naturę rzeczy widzianych, ani na ich przyczynowy związek. Wiele wprawdzie pozostaje jej jeszcze do rozwiązania, w mnogich zagadnieniach musi ona jeszcze do pewnego czasu zadawalać się mniej lub więcej prawdopodobnemi hipotezami; nie jej to wszakże wina, ale wina obecnego stanu nauk, które nie mogą jej dać stanowczej odpowiedzi na pytania, z jakiemi do nich się udaje. Za to te kwestye, które potrafiła rozwiązać za pomocą posiadanych przez się środków, mają pewność faktów, mogących śmiało stawić czoło wszystkim mechanicznym przesądom, nacierającym na nie z całą siłą spekulacyjnych subtelności.

Takie jest stanowisko obecne psychologii i takie są powody, dla których psycholog nie może ograniczać swych badań do zjawisk duchowych w ich prawidłowem działaniu, ale musi brać pod rozwagę i wszystkie zboczenia ludzkiego umysłu, szukając wytłumaczenia tak dla jednych, jak i dla drugich w danych, jakich mu dostarczają fizyologia i patologia.

Po tym przydługim, choć nie wyczerpującym ustępie przystępuję do pracy p. Ochorowicza.

Przedmiotem jej są zjawiska, lubo rzadkie w swych formach złożonych, w formach prostych bardzo pospolite. Zdwojenie percepcyi, pamięci, uczuć i woli każdemu mogły, a przynajmniej mogą się wydarzyć. Będąc następstwem chwilowej nieprawidłowości żywotnych spraw organizmu, w niczem nie zakłócając zwyczajnego biegu życia, nie zwracały one na siebie uwagi, a przynajmniej nie sądzono, by zasługiwały na pilniejsze zastanowienie się i naukowe zbadanie. Co się tyczy form zdwojenia złożonych, które nie raz gwałtowny zrządzają przewrót w umyśle człowieka, jakkolwiek oddawna niemi się zajmowano, zaliczano je przecież do zwyczajnego obłąkania, a nawet, przynajmniej w codziennem życiu, przypisywano je opętaniu złego ducha. Ostatniemi dopiero czasy zbadano ich naturę i podano bliższe ich przyczyny. Zjawiska te, chociażby się kto i nie zgodził na ich tłumaczenie, ciekawe dla każdego wykształconego człowieka, który nie może być obojętnym na to, co się dotyczy jego umysłu, są przedewszystkiem ważne dla psychologa. Prowadzą one do bardzo ważnych, tem ważniejszych, że nieodwołalnych wniosków. Pozwalają zbadać naturę wielu spraw duchowych. Wywody psychologii indukcyjnej, mające dotąd znaczenie li teoretyczne, nabierają przez nie wartość faktu, pewność dogmatu. Nie potrzeba więc dziwić się, że zaniepokoiły one cały obóz spirytualistycznych filozofów, którzy za pośrednictwem p. P. Jancet'a wystąpili z ich tłumaczeniem, mającem na celu uratowanie ich doktryny od rozbicia. Szkoda tylko, że jak zawsze, tak i tym razem w tłumaczeniu swem pominęły maluczki wprawdzie dla nieświadomych rzeczy szczegół, ale dla bronionej sprawy mający tę wartość, że inne nadaje rozmiary zdwojenia samowiedzy i do innych naturalnie prowadzi wniosków. Wdzięczność się należy p. Ochorowiczowi za jego pracę, która bez wątpienia licznych znajdzie czytelników, na co zasługuje tak dla treści, jak i obrobienia samego. Zasługa autora nie leży w samem tylko zebraniu faktów, rozproszonych po różnych dziełach i peryodycznych pismach, ale przedewszystkiem w tem, że działając metodycznie, wszystkie wiadome dotąd zjawiska zdwojenia psychicznego postarał się rozklasyfikować podług naturalnych ich cech, usiłując między oddzielnymi ich gatunkami wykryć pośrednie ogniwa, które łącząc je w jednę całość dozwalają przez to samo stosować do wszystkich, chociażby najbardziej złożonych, zasadę wykrytą w zbadaniu najprostszych. Klasyfikacya zjawisk zdwojenia, krytyka różnych na nie poglądów, wyjaśnienie ich na podstawie jednej hipotezy, która najbardziej odpowiada wymaganiom nauki, stanowią samodzielną stronę pracy autora. Z wywodami jego, mającemi za sobą logikę rozumowania i dowody, dostarczane przez fizyologię i patologię, każdy się zgodzić musi, chyba, że w prawdzie będzie szukał czegoś innego, jak rzeczy, opartej na doświadczeniu niezaprzeczalnem, i zbadanej i wytłumaczonej, o ile na to obecny stan nauki pozwala.

Mógłbym na tem miejscu zakończyć swe sprawozdanie z pracy p. Ochorowicza, gdyby nie jeden w niej ustęp, który zmusza mię do szczegółowego nad nim zastanowienia się. Na 24 str. autor powiada: „W żadnym razie nie można przyjąć przypuszczenia Bain'a, jakoby pojedyncze wyobrażenie w pojedyńczych komórkach *nerwowych* (zapewne mózgowych) miały swe siedlisko". Zdanie to autora o hypotezie, którą nie sam tylko Bain podziela, gdyż przyjmują ją i inni, np. Luys, Wundt, Maudsley, a nawet Schroeder van der Kolk, spirytualista najczystszej wody, wydaje mi się być trochę za stanowczem. Powiadam, wydaje mi się, nie znam bowiem powodów, które autora skłaniają do tak stanowczego jej odrzucania. Zrobię tylko uwagę, że przypuszczenie autora, jakoby podstawą każdej naszej myśli był pewien dynamiczny stan mózgu, nie tylko nie wyklucza hipotezy, uważającej komórki mózgowe za siedlisko nowych wyobrażeń, ale przeciwnie bez niej się obyć nie może. Anatomia i fizyologia dowodzą nam, że najważniejszym elementem mózgowej masy są komórki, że dynamiczny stan mózgu nie jest czem innem, jak wypadkową dynamicznego stanu pojedyńczych komórek. Słowem mózg, jako organ złożony, działa i żyje za pośrednictwem komórek, znajdujących się w szarej jego masie. Otóż między ustrojowością naszego mózgu, a naturą myślenia zachodzi ta analogia, że jak mózg działa za pośrednictwem komórek, tak myślenie nasze rozwija się za pośrednictwem występujących w naszej świadomości po kolei wyobrażeń i pojęć. Jakoś łatwiej mi jest pojąć, że podstawą każdej mojej myśli jest dynamiczny stan pewnego szeregu komórek, jak że podstawą każdej oddzielnej myśli jest osobny stan dynamiczny całego mózgu. Zresztą, przyjmując za podstawę myślenia dynamiczny stan mózgu, dla czego nie mamy przyjąć, że podstawą każdego wyobrażenia jest dynamiczny stan jednej jakiejś komórki? Oba te przypuszczenia uzupełniają się wzajemnie, bynajmniej sobie nie przecząc. Zamieściłem tych kilka uwag nie w zamiarze walczenia z autorem, gdyż musiałbym wprzód znać jego dziełko, do którego odsyła czytelnika po dowody, usprawiedliwiające jego zdanie, ale po prostu dla tego, że one mi się same nastręczyły w chwili odczytywania zacytowanego powyżej ustępu.

Na zakończenie pozwalam sobie jeszcze zwrócić uwagę autora na błąd językowy, który wprawdzie uzyskał już w Galicyi prawo obywatelstwa, ale który niemniej błędem być nie przestaje W kilku miejscach autor używa: *młody człowiek*, zamiast *młodzieniec*. Jestto jeden z owych licznych germanizmów, jakiemi grzeszą Galicya i Poznańskie.

Władysław Kozłowski.

(*„Kiedy będzie Polska?"* *napisał Warszawiak, 8ka, str. 16. Lwów, 1878.*)

Broszura pod powyższym tytułem tak dalece nie zawiera nic dodatniego, że nie uważalibyśmy za stosowne wcale się nią zajmować. Autor w poprzedniej swojej broszurze *„Czy będzie Polska?* powiedział, że będzie, jak interes Austryi nakaże jej odbudowanie Polski, obecnie na zapytanie kiedy? odpowiada stanowczo, że w czasie obecnej wojny to ma nastąpić. Wszelako autor obecnie jaśniej się wytłumaczył. Powiada np. że „Dopóki wypadki te (narodowo-polityczne w Europie) nie rozszerzą się w ten sposób, ażeby objąć i kwestyę polską, dopóty wszelkie z naszej strony wysilenia, będą tylko nowemi ofiarami." Przeciwstawić powyższemu twierdzeniu inne, więcej racyonalne, więcej pewne i więcej godne dwudziestokilkomilionowego narodu nie do nas należy. Pozostawiamy to pismom politycznym.

Powiada autor na innem miejscu, że społeczeństwo nasze „pod względem ekonomicznym i organicznym jest w stanie *choćby dziś* przyjąć na swoje ramiona niepodległą Polskę i postawić ją *zaraz* w rzędzie pierwszorzędnych narodów Europy..." Na to odpowiadamy, że gdyby tak było, to społeczeństwo nasze nie potrzebowałoby czekać na „wypadki narodowo-polityczne w Europie," ale samo postawiłoby tę niepodległą Polskę, a jeżeli samo postawić nie może i musi oglądać się na zewnętrzne wypadki, to i postawione przez zewnętrzne wypadki Polska od nich głównie zawisłą by była, a w takim razie nie miałaby pretensyi do nazwy pierwszorzędnego mocarstwa.

Nie łudźmy się tak bardzo. My co nie umiemy poradzić sobie ze sprawą ruską i pomyślnie ją rozwiązać, co nie umiemy połączyć obszarów dworskich z gminą, co nie umiemy w Radzie państwa zdobyć się na kilka słów dla zamanifestowania naszej żywotności, pomimo, iż te kilka słów ani pomódz ani zaszkodzić nam nie mogą, a są tylko chwilowym obowiązkiem, my co nie mamy ani jednego męża stanu, któryby bądź w Sejmie, bądź w Radzie państwa politykę polską reprezentował i w imię tej polityki szeregował *posłów polskich*, my co nie umiemy dla oświaty i dobrobytu ludu *nic* zrobić i oglądamy się tylko aż rząd za nas zrobi, my jeżeli z tem wszystkiem nie jesteśmy zerem, to tylko ze względu na naszą przeszłość, która za nas robi i która nadaje nam znaczenie i stanowisko, ale sami przez się my jesteśmy pod względem politycznym niczem i nie potrafimy *choćby dziś*, *zaraz* być pierwszorzędnem państwem, gdyby nawet ktoś pierwszego pięknego poranku Polskę w dawnych granicach postawił.

Jeżeli odpowiadamy autorowi broszury, to ze względu na jego pogląd w sprawie oświaty ludu, którą z lekceważeniem traktuje, i którą uważa ze stanowiska politycznego za nie mającą znaczenia. Prawda, że ani Francuzi, ani Niemcy, ani Anglicy nie posiadają oświaty w całych masach ludowych, jednakże posiadają ją w wyższym stopniu od nas. Prawda, że Włosi, Serbowie, Grecy nie są w całych masach ludowych oświeconymi, wszelako są więcej oświeconymi od nas, bo każdy Serb, Anglik, Włoch wie do jakiej narodowości należy, a czy chłop polski, litewski, ruski wie?

Jest więc ogromna różnica w oświacie tych ludów, a naszego ludu. Wszakże gdyby i tej różnicy nie było, to nasze wyjątkowe położenie jest tego rodzaju, że my aby odzyskać niepodległość, potrzebu-

jemy mieć lud więcej oświecony, bo jarzmo, które nas gniecie jest nierównie silniejsze i garstka inteligencyi nie tak łatwo potrafi sobie z nim poradzić. Wprawdzie w 1830 r. nie ciemnota mas stanęła na przeszkodzie wyzwoleniu się Polski, ale niedołężny rząd, błędy wodzów itp. Wprawdzie w r. 1863 gdyby nie błędy rządu, organizacyi, itp. bylibyśmy wyszli zwycięzko i masy ludu byłyby się przyczyniły do rozgromienia wroga, ale czy stałoby nam sił na dalszą wojnę z Prusami itd.? I zaraz dodajmy, że z tem wszystkiem przy większej oświacie ludu powstania te nie upadłyby.

Zkądże to pochodzi, że w każdem powstaniu powtarzamy te same błędy, wykazujemy to samo niedołęztwo umysłowe, brak energii i rozumu politycznego? Zkąd pochodzi, że porywamy się jak lwy, a giniemy jak muchy?

Oświata ludu zdaniem naszem pod względem narodowym ma dwojakie znaczenie. Zasilenie świeżym kontyngensem jednostek za słaby dziś zastęp inteligencyi i pomnożenie liczby świadomych obywateli kraju.

Słusznie autor powiada, że aby poznać lud nie dosyć jest pogawędzić z furmanem i widzieć Kaśkę pijącą wódkę, ale potrzeba się z nim zżyć, poznać stan jego umysłu, jego pragnienia i dążności. To też kto poznał lud nasz, ten wie, że między ludem polskim nie ma Polaków, ani pod Krakowem, ani pod Warszawą, ani pod Kijowem, ani pod Wilnem, ani pode Lwowem — wszędzie jest ciemna, poczciwa masa, pracująca na kawałek chleba i utyskująca na złe czasy. Wszędzie czy to w Mohilewskiem, Kijowskiem, czy Krakowskiem chłopi wiązali w czasie ostatniego powstania powstańców i oddawali Moskalom, wszędzie pełnili służbę policyjną wrogom. Nie zawsze z dobrej woli? zapewne.

Przeprowadzenie oświaty w całych masach jest pracą wieków, ale im wcześniej do tej roboty się zabieramy, tem rychlej ją ukończymy, i mówiąc o oświacie ludu, jako czynniku narodowym, nie stawiamy jako nieodzowny warunek całkowitego przeprowadzenia takowej przed odzyskaniem niepodległości. Tylko stawiamy jako nieodzowny warunek podniesienia tej oświaty o tyle, aby lud polski wiedział, że jest polskim.

To, co autor twierdzi, że pod zaborem moskiewskim nie można pracować nad oświatą ludu jest prostem przywidzeniem. Wiele się tam robiło i dziś się robi na tem polu, a można robić jeszcze więcej, pomimo trudnych warunków. Kto chce, wszędzie i zawsze sposobność znajdzie.

Czyby autor rozwijając swój program nie chciał napisać jeszcze trzeciej broszury: *jaka będzie Polska?* doprawdy ciekawi jesteśmy wiedzieć, jak będzie wyglądała ta Polska, która ma nam spaść z nieba.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 6. grudnia.

Za wielką niegodziwość poczytać musimy pani naturze, iż nam nie daje zimy. Każdy porządny człowiek, kiedy wie, że o tej godzinie powinien być obiad, irytuje się, gdy go częstują śniadaniem. Cóż u kroćset mam się kontentować czekoladką kiedy mi się należy kompletny obiad z lodami — powiedziałby gospodyni domu. Ale z naszą panią naturą tak nie można, to wielka grymaśnica w tym roku, bo na wszystkie narzekania kropi nam prawdziwie rusińskim kapuśniaczkiem w oczy i marudzi i majaczy jakąś mgłą, która tylko osowienie na człowieka sprowadza. Dalibóg od jakiegoś czasu to nie warto nawet chodzić po ulicach, wszystko jakoś tak skapcaniało we Lwowie, tak straciło miejscowy humorek, że chyba musieli nam coś zadać krakowscy Stańczykowie na ten smutek. Ale co? — doprawdy, że nie wiem. — I Czasu nie czytamy wcale, i poseł Czerkawski nie daje o sobie znaku życia, a takeśmy spoważniali, że doprawdy gdyby nie ten poczciwy Nadpełtwianin, nie byłoby nawet co czytać. Prawda, on jeden jak ten zły duch Banka, prześladuje każdego porządnego człowieka aż do znudzenia. Spojrzysz oknem uderzy cię na prawo i lewo sążnisty afisz Nadpełtwianina, wyjdziesz na ulicę, wszędzie Nadpełtwianin; nadepcesz jakiś papier, i to Nadpełtwianin; zobaczysz posługacza z chorągwią, również Nadpełtwianin, słowem we śnie, na jawie, przy obiedzie i w sklepie, w rynsztoku i na drzewie, nic tylko Nadpełtwianin poleca ci swoje usługi za 50 centów. Żeby to jeszcze nie przypominało ci roskosznej Pełtwy, pół biedy; ale proszę was jak tu kupować rzecz z Nadpełtwi, bez flakonika wody kolońskiej i bez chustki od nosa? To moi panowie pachnie nie 50ciu centami, ale przynajmniej pięć razy po pięćdziesiąt.

Z nudów, bo tylko z nudów, a może i na złość c. k. policyi, postanowiliśmy założyć Towarzystwo szachowe. Słuchajcie, wy rodowici Lwowianie, do czego to doszło. My twórcy stu różnego rodzaju stowarzyszeń, my sukcesorowie Towarzystwa Demokratycznego, my członkwie Stowarzyszenia spożywczo - ogrodniczo - jedwabniczo-strzelniczo - sadowniczo - pszczelniczo i tyle jeszcze nic nie robiącego, *i czo* mamy wypowiadać walkę królom, z nudów grać w szachy i to grać porządnie nie u pana Macieja, ale z prezesem, sekretarzem, Radą nadzorczą, wobec walnego zgromadzenia — to skandal, to oczywiste żarty z naszej Nadpełtwiańskiej krewkości. Powiadam wam, że to jest tylko zamach na lojalne uczucia c. k. komisarzówrządowych. Zobaczycie, jakie to będą hece z tym panem komisarzem, jeżeli przy takim turnieju publicznym przyjdzie chęć królowi attakować królowę. Ciekawym jak tu w tym przypadku da sobie radę c. k. rozum komisarski i kogo zechce bronić?... Już widzę jaka z tego nastąpi chryja, jak cała delegacya wystąpi w szyku bojowym z interpelacyą do pana ministra i objawi mu in gremio oburzenie, jak śmie policya zabronić wolnemu ludowi podburzać króla przeciw królowej! Panowie wyborcy lwowscy, proszę was zwróćcie szanowną uwagę swoję na tę ewentualność i wsadźcie w pakta conventa przyszłych sukcesorów sławy czcigodnego Smolki ten ważny znak zapytania, jakby sobie w takim wypadku poradzić? Mamy sześciu zaproszonych, których bierzemy na ścisły gramatyczno-chemiczno-dziennikarski i retoryczny examen, prawdziwą maturę, a tu tyle brzemiennych spraw leży na naszym stole politycznym. Oj ciężki to będzie examen? ciężka sukcesya wobec zadąsanego na delegacyą horyzontu Lwowskiego! Wyznanie wiary panowie kandydaci — to mało; spowiedź generalna — i to mało; my wiemy, coznaczy spowiedź bez rozgrzeszenia, nauczył nas pan Julian tych retorycznych operacyi i barankowej pokory...

My teraz panowie żądamy *rękojmi!* Wielkie to słowo *rękojmia*, to panie nie jakieś słowo honoru, albo weksel z dwoma podpisami... Nie wierzymy żadnym szpargałom, nie, tylko *faktycznej rękojmi*, jak powiada Dwutygodnik polski... Więc szukajcie panowie maturzyści tej rękojmi w swych sumieniach i kładźcie ją na stół, żebyśmy ją wszyscy oglądać, a nawet dotykać się jej mogli, inaczej będzie źle.

Ten tydzień, to jeszcze zejdzie nam jako tako: możemy sobie ostrzyć języki na kandydatach, i to pewną dystrakcyą stanowi wśród tej mglisto-kwaskowatej jesieni. A co dalej? O ile mogę moim kronikarskim duchem przewidzieć, niestety widzę same pustki, nic, ale to najmniejszego kiełka na wyrośnięcie jakiego skandaliku... Nawet ten konkurs hr. Aleksandra Fredry na sztuki dramatyczne dla tutejszego teatru, nie wzbudza żadnego apetytu... Proszę was, czy to sens, czy to ma jakąś iskierkę zdrowej logiki nam, ludziom przywykłym do smacznej kuchni Małeckiego, obiecywać jakiś *żur*, daję wam słowo nadesłano na konkurs komedyę, żur i to nie ten francuski żur, ale nasz czysto chłopski, owsiany żur, w którym łyżka stanie. — Doprawdy autorowie dramatyczni dzisiaj nie mają żadnego smaku; jak można pochrzcić swoje potrawy tak naprzykład: Bis Czort, Żur, Żona na Dyecie, Strażacy, Nudziarze. Już „Ofiary próżności,“ albo jakieś „Wpływy kobiece“ brzmi pokaźniej, choć nie to, co tragedya „Niewinność uciemiężona albo prosie w worku,“ które wasz kronikarz na ten konkurs wykańcza. Przyznacie, że to przynajmniej maluje rzecz dosadnie i rzeczywiście wzbudza apetyt na tę upieczoną niewinność uciemiężoną z kawałkiem chrzanu w zębach. Dla tego jestem przekonany, że gdy przyjdzie mojej niewinności wystąpić na scenę, teatr będzie przepełniony i będziemy zmuszeni orkiestrę usunąć, ale na ten Żur nie radzę wam się pisać; i tak już mieliśmy w tych czasach dość tego rodzaju przysmaków teatralnych...

Na zakończenie tak jałowej kroniki z tygodnia muszę wam donieść, że sąd przysięgły tutejszy uwolnił od kary Wawrzyńca Bajsarowicza, który przywiedziony do rozpaczy przez obywatela Mordka Federa z Żółkwi, pozwolił sobie kolnąć go pięć razy nożem pod żebra, wyprawiając w ten sposób na łono Abrahama. Ciekawa to ze wszech miar była historya, jak biedny chłopek za 12 zlr. długu został do tego stopnia powikłany w sprawę z tym dobroczyńcą ludzkości, że ten zabrawszy mu całoroczny sprzęt zboża na satysfakcyę swego długu, natrząsał się jeszcze z nieszczęścia swej ofiary, jak prawdziwy jastrząb, zajadający żywcem ciało złowionego gołębia. Rozpacz doprowadziła tego przedtem uczciwego człowieka do morderstwa, dla tego też opinia publiczna jednozgodnie przyklasnęła wyrokowi Sądu, a okoliczność ta może posłuży za naukę rozpasanej chciwości prowincyonalnych Polaków mojżeszowego wyznania, i przekona ich, że nie zawsze jest bezpiecznie drzeć skórę żywcem ze swojego bliźniego. Wyrok taki, który dobrze myślący i zacni obywatele mojżeszowego wyznania powinni kazać ogłosić we wszystkich synagogach izraelickich, byłby daleko skuteczniejszą tamą przeciw lichwiarstwu, niż wszelkie nowelle przez Radę państwa uchwalone.

* * *

Z prawdziwą przyjemnością przychodzi nam tu zapisać, że „Dziennik Polski“ otworzył swoje kolumny dla sprawozdań literackich, które p. t. *Echa ze świata polskiego* zamieszcza w fejletonie. Przynajmniej czytelnicy „Dziennika Polskiego“ dowiedzą się, że jest jakaś literatura polska, i że nowe książki polskie wychodzą jeszcze z druku. Może za dobrym przykładem pójdzie i „Gazeta Narodowa“, której czytelnicy musieli już nabrać przekonania, że oprócz „Ruchu literackiego“ i jego znakomitych artykułów wstępnych, w których redakcya zawsze coś wykazuje dla zbudowania czytelników „Gazety Narodowej“, od paru lat nic więcej w literaturze polskiej się nie ukazało.

Wprawdzie „Dziennik Polski“ nie po raz pierwszy rozpoczyna sprawozdania literackie, i

obawiamy się aby takowe i tym razem nie skończyły się na kilku fejletonach, ale miejmy nadzieję, że literatura raz przecie znajdzie prawo obywatelstwa w dziennikach naszych obok sprawozdań kryminalnych, teatralnych, zmiany kursu papierów i tylu innych ważnych i nie ważnych rzeczy.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Berger dr. Ant. St.* Diphtheritis, Angina, tychże rozpoznawanie i sposób leczenia popularnie skreślone dla użytku rodziców, opiekunów, zakładów i t. p. 8ka, str. 60, Lwów. Nakład Księgarni Polskiej, 1878. 50 ct.

— *Don Carlos.* (Libretto.) Opera w 5 aktach z francuskiego pp. Méy i Camila du Cale. 30 ct.

— *Hagen Karol.* Dzieje najnowszych czasów. Od upadku Napoleona I. do przedednia roku 1848. Tom I. 8ka duża, str. 791. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej. Cena z policzeniem za tom II. 7.50.

— *Hoffmonn Fr.* Boże Narodzenie. Powiastka dla młodzieży, przełożył Bolesław Dunin (z czterema rycinami), 16ka, str. 103. Kartonowane. Brody, 1877. 50 ct.

— *Hołowkiewicz E.* Flora leśna i przemysł drzewny w Galicyi. Z powodu tegorocznej rolniczo-przemysłowej wystawy, na polecenie c. k. Namiestnictwa. 8ka, str. 79. Lwów, 1877. 2 złr.

— *Kalendarz kieszonkowy* oprawny z notatkami na każdy dzień 1878 roku. 40 ct.

— *Klonowski T.* Nowy kancyonał polski czyli zbiór pieśni z melodyami w kościele polskim rzymsko-katolickim od najdawniejszych czasów używanemi. Wydanie drugie, 2 tomy, duża 8ka, str. 1612. 24 złr.

— *Machts Ferd.* Nauka o szacowaniu majątków ziemskich. Krótki wykład racyonalnych zasad szacunkowych w ogóle dla wszystkich postępowych włościan. Podług drugiego niemieckiego wydania przełożył Hipolit Tenczyński, 8ka, str. 119. Lwów, 1878. 1.20.

— *Niemcewicz J. M.* Jan z Tęczyna. Powieść historyczna, 8ka, str. 306. Lwów, 1878. 1.80.

— *Przygody Krakowianina* na wystawie lwowskiej w r. 1877, str. 24. Lwów, 1877. 25 ct.

— *Wilczyński.* Fotografie społeczne. Tom I. 8ka, str. 248, zawiera: Sąd polubowny. Tom II. 8ka, str. 203, zawiera: Przegrana sprawa, Pan Komornik, Pani Inspektorowa. Tom III. 8ka, str. 224, zawiera: Mania Curaciosa, Intromisya lekarza, Zęby Warszawianki, Naiwności szlacheckie 3 tomy. Lwów, 1878. 5.40.

— *Zwierciadło głupstwa.* Powieść, napisał Ignatius, 8ka, str. 290. Lwów. 3.20.

W SPRAWIE JUBILEUSZU J. I. KRASZEWSKIEGO.

ODEZWA.

Rodacy!

Z długów wdzięczności najgodniejsze człowieka są te, które płaci naród swym wybrańcom. Oddając hołd uznania za skarby myśli, za promienie uczucia, uczuwamy się wyższymi nad chwilowe potrzeby życia — zasługujemy na pamięć, pamiętając o twórcach naszej chwały.

Nigdy zaś obowiązek ten nie mógł być dla nas łatwiejszym i milszym niż dzisiaj, gdy chodzi o uczczenie człowieka, którego imię wszyscy mamy na ustach a owoc pracy — w sercach. Niegdyś sam jeden czynny wśród powszechnego omdlenia — dziś pierwszy wśród wielu pracowników, których jego przykład stworzył, budzi on w duszach naszych niewyczerpane bogactwa obrazów i idei: w setkach ksiąg rozsypując błyski swojej fantazyi i wiedzy.

Kto jest Polakiem — ten go czytał; kto go czytał — ten go wielbi. Jeśli bowiem geniusz wywołuje podziw, jeśli charakter cześć budzi, to jakże nie ma zasługiwać na uwielbienie ten, ktory dwie te siły ducha skupił w jednem ognisku powszechnego dobra, który dwa te skarby duchowe zlał w jeden posąg spiżowy: cichej, wytrwałej, niespożytej pracy?

Tej pracy upłynie wkrótce lat pięćdziesiąt!

Mamyż mówić, kto jest tym Tytanem fantazyi, tym mistrzem słowa, tym pracownikiem narodowej myśli?

Cały kraj powie za nas jednym głosem: *Kraszewski.*

Przez pół wieku karmić naród — i nie zubożeć, potrafi tylko taki bogacz jak on. Czemże go uczcimy, my, wieczni dłużnicy jego?

Nie jesteśmy pierwsi i nie będziemy ostatni w oddaniu hołdu zasłudze. Chcemy więc skromną tylko pamiątką uwiecznić tę chwilę uroczystą, w której okres umysłowego życia narodu znajduje wspaniały swój wyraz w okresie życia jednostki! Chcemy wybić dla *Kraszewskiego* medal, btóryby mógł być symbolem jego czystej, trwałej i pełnej blasku zasługi. Niechaj imię jego wyryte w złocie, przypomina dzieciom naszym: co może zdziałać jeden człowiek — siłą ducha!

* * *

Dla pokrycia kosztów medalu ustanawia się prenumeratę w ilości zł. 3, którą składać można we wszystkich znaczniejszych Księgarniach i Redakcyach pism polskich. Każdy prenumerator przyczyniając się do wybicia medalu złotego, otrzyma medal bronzowy. Komitet niżej podpisany uprasza o wczesne nadsyłanie przedpłaty, celem uregulowania nakładu. Sprawozdania z rachunków ogłaszane będą w dziennikach wraz z listą prenumeratorów.

Redakcye pism polskich prosimy o powtórzenie niniejszej odezwy.

Lwów 1 grudnia 1877.

Abakanowicz Bruno, Amborski Jan. — Bartoszewicz A. D. Bełza Władysław, Biernacki Mikołaj, Biliński Józef, Błotnicki Edward. — Czajkowski Damian. — Darowski Mieczysław, Hr. Dzieduszycki Wojciech. — Ekielski Józef, Hr. Fredro Jan Aleksander. — Giller Agaton, Dr. Goldman Bernard, Gubrynowicz Władysław. — Hefern Robert. — Jasiński Aleksander.— Kantecki Klemens, Kostecki Platon. — Dr. Limanowski Bolesław. — Hr. Łączyński Henryk. — Dr. Małecki Antoni, Milikowski J., Hr. Molodecki Józef. — Dr. Niedźwiedzki Julian.— Dr. Ochorowicz Julian, Onyszkiewicz Zdzisław, Ordon Władysław. — Podleski Waleryan, Hr. Potocki Stanisław. — Dr. Radziszewski Bronisław, Rewakowicz Henryk, Richter F. H., Romanowicz Tadeusz, Hr. Rozwadowski Ryszard. — Seyfarth Gustaw, Schmidt Władysław, Hr. Starzeński Edmund, Hr. Starzeński Leopold, Supiński Józef, Syroczyński Antoni. — Tatomir Lucyan, Hr. Tarnowski Władysław, Tretiak Józef. — Ujejski Kornel. — Wilczyński Albert, Wild Karol. — Zajączkowski Liberat, Zawadzki Bronisław, Zima Franciszek.

W redakcyi naszej złożyli: A. D. Bartoszewicz 3 złr. Wna Sermakowa 3 zlr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Nakładem księgarni F. H. Richtera opuścił prasę *Ahaswerus w Rzymie*, poemat w sześciu pieśniach Roberta Hamerlinga. Przekładu dokonał z dziewiątego wydania Władysław Ordon. Lwów, 8ka, str. 310. (2.40). Ocenę podamy wkrótce.

— Karola Hagena *Dzieje najnowszych czasów* (1815—1848) wyszedł z druku tom I. Lwów; 8ka, str. 800. Nakład księgarni Polskiej 1878. Cena z przedpłatą za 2 tomy 7.50

— Pan Władysław Bełza przygotował do druku szereg wierszyków dla dzieci, które wyjdą pod tytułem *Matka* nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

— Księgarnia Polska przygotowuje do druku *Spiewnik Polski.* Będzie to zbiór pieśni tak dawniejszych jak i nowszych, spiewanych bądź w całym kraju, bądź w niektórych tylko prowincyach, o ile możność pozwoli zupełnie wyczerpujący. Potrzeba takiej książki od dawna czuć się dawała i niejednokrotnie starano się jej choć częściowo zaradzić. Wydawnictwo to wcielonem zostanie do Biblioteki Mrówki wydanem będzie zeszytami z oznaczeniem ceny jak najniższej, aby rozpowszechnienie ułatwić w najszerszych kołach.

— *Poezye* Władysława Bełzy wyjdą wkrótce nakładem autora we Lwowie.

— Gramatyka francuska Ollendorfa wyjdzie wkrótce w nowem wydaniu nakładem Karola Wilda we Lwowie. Zeszyt I. opuścił prasę.

— *Historya Polska* Wł. L. Anczyca, wyszła w nowem wydaniu.

— Księgarnia Polska zapowiada w nowej seryi Biblioteki historycznej znakomite dzieło Peschla: *Historya odkryć geograficznych*, będzie to cenny nabytek dla literatury naszej. Przekładu podjął się p. Józef Tretiak.

— *Historya Polska* w treściwem opowiadaniu Juliana Bartoszewicza, opuści wkrótce prasę (w Bibliotece Mrówki).

Ks. Stojałowski zamierza wydawać dziennik. Ma to być coś w guście *Unii*, która niegdyś uszczęśliwiała swoich czytelników. Słyszeliśmy także o projekcie jeszcze jednego dziennika we Lwowie. Szkoda czasu i atłasu.

— Wydawnictwo „Uniwersalnej bliblioteki“ Filipa Reklama w Lipsku, ogłosiło drukiem powieści zgasłego w tych dniach Lucyana Siemieńskiego w przekładzie Filipa Loebensteina.

— Z nadesłanego nam pisma dowiadujemy się, iż dziennik rosyjski *Zapadnaja Poczta*, od nowego roku mający wychodzić w Warszawie, powstanie swe zawdzięcza funduszom prywatnym deklarowanym przez sześciu założycieli. Kierunek redakcyi obejmą prof. warsz. uniw. Jakowlew i p. Terechow. Współudział w redagowaniu przyjąć miało 24rech współpracowników.

— *Siewiernyj Wiestnik* podaje, że w Warszawie ma wychodzić rosyjski dziennik naukowo-literacki pod tytułem: *Rosyjsko słowiański goniec filologiczny*, (Rusko-słowiańskij filologiczejskij wiestnik) pod redakcyą profesora warszawskiego uniwersytetu M. A. Kołosowa. Wydawnictwo to ma się zajmować, językiem, poezyą narodową i starożytną literaturą słowian. Wychodzić ma cztery razy na rok, w formie książki z 10 do 15 arkuszy druku.

— Komitet Towarzystwa muzycznego w Warszawie zawiadamia, że z pomiędzy utworów muzycznych, nadesłanych do wydawnictwa i ocenionych przez komi-ye złożoną z sędziów: Freyera Augusta, Rożnieckiego Gabryela, Rudolfa Strobla, Sikorskiego Józefa, ś. p. Stevicha Franciszka, Troszla Wilhelma i Wieniawskiego Józefa, następujące kompozycye przeznaczone zostały do opublikowania nakładem towarzystwa:

1) „Spiewnik“ na jeden głos z towarzyszeniem fortepianu kompozycyi Ignacego Krzyżanowskiego;

2) „Dumka“ i „Romans“ na fortepian Ign. Krzyżanowskiego;

3) „Luli“ spiew Jana Kleczyńskiego;

4) „Capriccio“ na fortepian Ignacego Krzyżanowskiego;

5) „Scherzo“ na fortepian Ignacego Krzyżanowskiego;

6) „Krakowiak — rondeau“ na fortepian Ignacego Krzyżanowskiego;

7) „Mistrz Twardowski“, legenda skomponowana na orkiestrę i przełożona na fortepian na cztery ręce Adama Münchheimera;

8) „Andante con variazioni“ na fortepian Jana Kleczyńskiego.

— Pan Bolesław Dobrzyński, syn zawcześnie dla sztuki zgasłego Ignacego Feliksa Dobrzyńskiego, ogłosił wydawnictwo drogą prenumeraty pozostałej po ojcu w rękopismie symfonii (op. 11, Nr. 1), która ukazać się ma w układzie fortepianowym na cztery ręce.

Jestto może najpraktyczniejszy sposób rozpowszechnienia w szerokich kołach miłośników muzyki,

dzieła godnego stanąć obok „Symfonii charakterystycznej", obok „Święty Boże" i tylu innych kompozycyi. które na dłuższą pamięć i na sprawiedliwsze ocenienie zasługiwały.

Sądzimy też, że wydawnictwo przedsięwzięte przez p. Bronisława Dobrzyńskiego, będzie znaczyło coś więcej aniżeli akt synowskiej czci dla pamięci ojca, i że publiczność poparciem swojem zechce choć późno wynagrodzić niezasłużoną obojętność, która krępowała polot twórczy, a nawet rzec można przyczyniła się w pewnym stopniu do wiecznego zamilknięcia twórcy „Konrada Wallenroda".

— Julian Zarębski tryumfował niedawno w Berlinie, dziś zaś nad pięknym modrym tryumfuje Dunajem. Donoszą nam z Wiednia, iż ostatni jego występ w filharmonicznym koncercie uwieńczony został niezwykłym sukcesem. Entuzyazmowała się publiczność — entuzyazmowali się i krytycy. Schelle, surowy a sumienny recenzent *Pressy*, ma dla naszego rodaka gorące tylko słowa pochwały; krytyk przyznaje artyście pierwszorzędne w rzędzie znakomitych pianistów stanowisko.

— Nowa spiewaczka. List z Genui donosi, że w tamecznym teatrze „Paganini" występowała w „Łucyi z Lamermoru" z wielkiem powodzeniem pani Antonina Kossakowska, uczennica — i to jedna z najlepszych — pani Viardot Garcia. Dzienniki genueńskie, jak Gazetta di Genowa, Corriere Merzantile i wiele innych oddają naszej rodaczce entuzyastyczne pochwały, wróżąc jej świetną przyszłość sceniczną.

Pani Kossakowska występuje w Genui pod nazwiskiem signory Antuanetty Corvini, wziąwszy ten przydomek od herbu swojej rodziny Korwin.

— Jeszcze Matejko nie ukończył wielkiego płótna przedstawiającego „Bitwę Grünwaldzką" a już drzeworytnicze rylce pracują nad przygotowaniem reprodukcyi tej epopei malarskiej.

Sam mistrz rysuje kopię swego obrazu na drzewie.

Podobno sztych ten będzie przeznaczony na premium dla czytelników „Tygodnika Illustrowanego" i jednocześnie wysłany na wystawę paryzką.

— Władysław K., w artystycznych swych listach z Rzymu pisanych do „Gaz. Warsz.", podaje ciekawe szczegóły z wędrówek odbytych przy październikowem słońcu po pracowniach sztukmistrzów naszych zamieszkałych w wiecznem mieście.

Pielgrzymkę swą rozpoczyna K., na Ponte mole, od pracowni Aleksandra Stankiewicza.

Stankiewicz, uczeń petersburskiej akademii sztuk pięknych, jest jednym z naszych artystów od najdawniejszego czasu mieszkających w Rzymie, ztąd też może, choć rodzajowy malarz zeń niepośledni, mało u nas znany.

Ma on w tej chwili na sztalugach „Grę w morę" — płótno wyśmienite, nacechowane do najwyższego stopnia miejscowością i kolorytem rzymskiej przyrody.

Jest też tam kilka portretów, głów włoskich charakterystycznych, pełnych życia i południowego ciepła, oraz jeden szkic do „Świętej Cecylii" i drugi wyobrażający „Wiatyk w Tivoli".

Dalej K., idzie do podnóża Monte Pincio, gdzie się rozciągały częściowo słynne lukulusowe ogrody.

Tu cisza, pustka, woń drzew i kwiatów.

Z maleńkiego podwórka przypominającego ciasne dziedzińce południowych klasztorów dostaje się na schody i tu odchyla kotarę zasłaniającą pracownię.. Siemiradzkiego.

Pracownia to nader przestronna, aby pomieścić mogła w sobie obrazy wysokości „Świeczników chrześciaństwa".

Siemiradzki dopiero co wrócił z podróży i zabierać począł się do roboty.

Za to pilnie pracujący w tej samej sali Kazimierz Szolc uczynił wielki postęp od czasu przybycia swego do Rzymu i ucieczki pod skrzydła twórcy „Jawnogrzesznicy".

Koloryt jego ogrzał się, pędzel pewności nabrał, smak się wykształcił.

Kotarbiński ma atelier swoje niedaleko pracowni Brodzkiego w zaciśniętej ulicy Via San Basilio.

Z pozoru niedostępne, daje z wewnątrz wspaniały widok na ogród kapucynów i willę Ludovisi.

Znakomity artysta — jak go nazywa K., — ukończył właśnie „Ucieczkę do Egiptu" dla ks. Józefa Strössmayera biskupa bośniackiego i syrmijskiego.

Sławny pasterz diakovarski ozdobił płótnem tem świątynię w Zagrzebiu.

Dalej pracuje Kotarbiński nad „Wskrzeszeniem syna wdowy" obrazem o wschodniem pięknie Ewangelii, a potęgującem wiarę.

Dzieło to pełne wysokich różnostronnych zalet, sprawia na widzu ogromne wrażenie.

Najnowszy obraz „Ecce homo" również jest doskonały; K. bowiem mówi, „iż jeden taki obraz wystarcza, aby imię Kotarbińskiego ocalić od zapomnienia w dalszych czasach".

— Rocznica 300 letnia założenia trybunałów, przypadająca na rok następny, dała powód jednemu z uczonych do opracowania odpowiedniej monografii. Cenny ten przyczynek do historyi naszego prawa, zwróci na siebie niewątpliwie powszechną uwagę, zwłaszcza, iż kilkaset zawartych w tej książce aneksów, znakomicie wzbogaci tekę drukowanych do chwili obecnej archiwalnych zasobów.

— Wydawnictwo śp. Girsztowta. Gaz. lekarska oraz inne wydawnictwa śp. doktora Girsztowta prowadzone będą dalej pod redakcyą i kierunkiem profesora tutejszego uniwersytetu, dra Henryka Łuczkiewicza.

Po zatwierdzeniu przez zarząd główny do spraw prasowych nowego redaktora, ku czemu stosowne poczyniono kroki, wszystkie zaległe numera „Gazety" i arkusze „Biblioteki" rozesłane zostaną natychmiast prenumeratorom.

Ostatniem życzeniem śp. Girsztowta było, aby prace jego mogły być ukończone i życzenie to przez wykonawców woli nieboszczyka będzie sumiennie spełnione.

— „Gaz. Pol." rozpoczęła druk ustępów z podróży dr. Antoniego Remana, odbytej w latach 1875 do 1877 do krainy Kafrów i Hottentotów.

— Poeta i świat, Witolorauda, Latarnia Czarnoksięzka Nowe studya literackie, Zygmuntowskie czasy, Chata za wsią, Dwa Światy, Pamiętniki Ochockiego, Jasełka, Rzym za Nerona, Półdjable Weneckie, Pamiętnik Mroczka, Dzieci wieku, Pamiętniki Drzewieckiego, Studya o Szekspirze.

Oto tytuły dzieł wyborowych Kraszewskiego, które wraz z portretem i życiorysem tego przodującego dziś w piśmiennictwie naszem autora, wyjdą z druku w wydaniu jubileuszowem, przygotowującem się w drukarni J Ungra pod nadzorem i kontrolą komitetu złożonego z obywateli, dziennikarzy, literatów i księgarzy.

— *Nauka o szacowaniu majątków ziemskich*, krótki wykład racyonalnych zasad szacunkowych dla użytku właścicieli dóbr, dzierżawców, rządców, komisarzów szacunkowych, w ogóle dla wszystkich postępkowych ziemian. Podług drugiego niemieckiego wydania, dzieło Ferd. Machtsa przełożył Hipolit Turczyński. 8ka str. 120. Lwów 1878 r. cena 1·20 ct.

Szkoły.

— Ministerstwo oświecenia publicznego w Rosyi ogłasza szczegółowe sprawozdanie za rok 1875.

Podług tego sprawozdania w końcu 1875 roku było wszystkich szkół elementarnych w Rosyi 23,936, a w nich 785,265 uczących się chłopców i 170,034 dziewcząt, czyli że na 77 milionów mieszkańców, przypada 1 szkoła na 3216, a 1 uczący się na 80 głów.

„Siewiern. Wiestnik", z którego czerpiemy te szczegóły, zaznacza, że w Europie Zachodniej przypada 1 szkoła na 500 ludności.

Jeżelibyśmy jednak ze względu na rozległość państwa rosyjskiego, mówi „Siewiernyj Wiestnik", przyjęli jako normalną zasadę 1-nę szkołę na 1000 ludności, to i tak jeszcze brakowałoby nam około 50,000 szkół, tj. dwa razy tyle ile ich jest dzisiaj. Budżet ministerstwa oświecenia wynosił obecnie około 6 milionów rs., na pokrycie więc wydatków na nowe szkoły, potrzebaby zwiększyć go do 17 milionów rs.

Ważną równie niedogodnością jest brak nauczycieli. Liczba uczących się w 58 seminaryach nauczycielskich, nie przewyższała 574, tj. jeden odpowiednio przygotowany nauczyciel przypada na 40 szkół.

Liczba ubywających ze szkół ludowych przed ukończeniem kursu nauk, wynosi 13 procent ogólnej liczby uczących się, kiedy tymczasem liczba kończących kurs nauk dochodzi zaledwie do 5 proc.

— Budowa szkoły sztuk pięknych w Krakowie ma się rozpocząć z początkiem wiosny roku przyszłego na Kleparzu za bramą floryańską, z jednej strony ku plantacyom i bramie floryańskiej, z drugiej zaś ku hotelowi lwowskiemu, a z trzeciej ku Kleparzowi. Prezydent miasta zapowiedział na posiedzeniu komisyi uporządkowania miasta d. 15 b. m., że szkoła sztuk pięknych musi być przed październikiem 1879 roku ukończoną, aby z początkiem roku szkolnego mogła być na użytek publiczny oddaną.

— Na uniwersytet jagielloński uczęszczało w półroczu zimowem 808 słuchaczy. Z tych na wydział prawny 298, na lekarski 183, na filozoficzny 104, na teologiczny 23. W półroczu letniem było słuchaczów 582, a mianowicie: prawa 298, medycyny 168, filozofii 92, teologii 24. Profesorów i docentów było 65, asystentów 16, urzędników biblioteki 6.

Numizmatyka.

— Pięciodukatówka Zygmunta I. z r. 1533, unikat nadzwyczajnej rzadkości, bita stemplem t. z. Szlikowskich talarów, znajduje się w gbinecie numizmatycznym opactwa kanoników regularnych w Herzogenburg, w pobliskości St. Pölten. Za talary Szlikowskie płacą po 500 reńskich od sztuki, cóż więc dopiero ówczesna pięciodukatówka musi być wartą? O jej istnieniu w żadnem dziele o numizmatyce polskiej nie ma dotąd wzmianki. Zapewne jest ona próbą menniczą, bardzo pięknie dokonaną i bitą a nie laną. Jak się do Herzogenburg dostała, trudno wybadać.

Sądzimy, że ta wiadomość o najdawniejszej większej sztuce złotej polskiej wszystkich miłośników numizmatyki krajowej żywo zainteresuje.

Drzeworytnictwo.

— Panna Józefa Kleczeńska, której drzeworyty na warszawskiej wystawie pracy kobiet odznaczone zostały złotym medalem, powzięła zamiar wspólnie z drugą pracowniczką na polu drzeworytnictwa panią Ludwiką Jeleńską — otworzyć wkrótce w Warszawie „zakład drzeworytniczy."

W nowej tej drzeworytni nietylko będą przyjmowane zamówienia na wszelkie roboty drzeworytnicze, ale nadto pod kierunkiem panny Kl., oraz jednego z pierwszorzędnych drzeworytników udzielane będą lekcye drzeworytnictwa zgłaszającym się kandydatom.

Tak więc panie nasze wchodzą już na najbardziej pożądaną drogę, bo wspólnemi siłami usiłują rozszerzyć skalę swej pracy i z uzdolnienia swojego osiągając tym sposobem większe niż dotychczas korzyści.

Nie pozostaje jak uczciwym tym usiłowaniom przyklasnąć i życzyć powodzenia.

Wojna.

— Gazety petersburskie obliczają na podstawie źródeł urzędowych, koszta prowadzenia wojny i uruchomienia wojsk. I tak wypuszczono dwie pożyczki wewnętrzne ogółem na 300 milionów rs. Oprócz tego ogłoszono obecnie emisyę nowej pożyczki zagranicznej w sumie 15 milionów funtów szterlingów. Do tego doliczyć należy sumę 240 milionów rs. wypożyczoną przez rząd z Banku Państwa, oraz 245 milionów rs. banknotów, „czasowo wypuszczonych." Dodawszy wszystkie te sumy razem, wypadnie, że w ciągu roku t. j. od chwili ogłoszenia mobilizacyi, wydatkowano 2 miliony rs. dziennie na utrzymanie armii.

Stowarzyszenia.

— Otrzymaliśmy sprawozdanie Czytelni akademickiej w Krakowie za rok 1876/77, z którego notujemy, że czytelnia otrzymywała 122 czasopism i dzienników, między temi 75 polskich. Ilości dzieł posiadanych w Bibliotece nie znamy. W ostatnim roku przybyło 110 dzieł w 196 tomach. Z biblioteki korzystało 215 członków, którzy przeczytali 1860 dzieł. Liczba członków czytelni wynosi 358, z tego widzimy, że 143 z biblioteki nie korzystało. Dochód wynosił 1160 złr., z tego wydano na bibliotekę 109 zł. na czasopisma 175 złr., razem 284 — pozostałe 876 złr. użyto na wynajęcie lokalu i różne inne wydatki. Funduszu żelaznego posiada biblioteka 556 złr.

Winniśmy tu także wyrazić nasze zdziwienie, iż z ogólnej sumy dochodu na bibliotekę zaledwie mniej niż $^1/_4$ użytą została na cel główny a przeszło $^3/_4$ na poboczne wydatki.

ROZMAITOŚCI.

Jak miłe są stosunki wydawców polskich pism literackich w Galicyi, przekonać może czuła odezwa „Ogniwa“, pisma literacko-naukowego wychodzącego w Kołomyi:

„Tyle razy już odzywaliśmy się do naszych czytelników z prośbą o uiszczenie należącej się nam prenumeraty za pierwsze półrocze, że prawdziwie, po listach upominających wysłanych, nie mamy już innego sposobu przemówienia do nich.

Przecież nam ani papieru nikt daremnie nie daje, ani też żadna drukarnia gratis nie drukuje, nie licząc innych może większych wydatków, więc z jakiemże sumieniem może ktoś żądać, ażebyśmy mu w prezencie numera wysyłali a nawet jeszcze i pocztę opłacali.“

Jak w trudnem położeniu znajduje się wydawca, każdy to pojmie, zważywszy, że nietylko nie ma tylu prenumeratorów aby przedpłatą pokryć koszta wydawnictwa, ale nawet ci, jacy są, prenumeratorowie, nie przysyłają regularnie przedpłaty. Trudno więc wymagać, aby pismo było dobre, skoro nie ma szerszego poparcia; najszczersza chęć rozbije się o obojętność ogółu. A Kołomyja należy do większych miast galicyjskich i dość liczną tak w mieście jak i w okolicy posiada inteligencyę polską, któraby mogła i powinna utrzymać jedyne w tych stronach polskie pismo, skoro ruskie z tendencyą szkodliwą się utrzymuje.

Ze smutnej statystyki Warszawy.

W ciągu zeszłego tygodnia, to jest do wtorku, zameldowanych było w policyi 64 kradzieży na sumę rs. 6.466 kop. 46, wykryto kradzieży 52, na sumę rs. 5.586 kop. 86; aresztowano zaś osób podejrzanych 50.

Od początku zaś roku po dzień 27 listopada spełniono w Warszawie 2.461 kradzieży, na sumę rs. 206.574 kop. 79.

Poważne cyfry!

Arszenik w Renie. 2.468 centnarów substancyi arszenikowych wiózł okręt, który w tych dniach zatonął w Renie pod Mühlhofen. Okręt, wspaniały parowiec śrubowy pewnej kampanii amsterdamskiej, jechał z Amsterdamu do Mannheimu i rozbił się na skalistej mieliźnie z powodu niskiego stanu wody. Niebezpieczeństwo zatrucia wody w rzece nie jest zresztą tak wielkie, ponieważ cały ładunek arszeniku mieścił się w mocnych beczkach żelazem kowanych i bezzwłocznie zabrano się do wydobycia z dna rzeki. Ludzie fachowi nadto uspokajają publiczność w „Köln. Ztg.“ dowodząc, że choćby nawet cała owa ilość arszeniku rozpuściła się w wodzie, będzie to płyn w tak homeopatycznem rozcieńczeniu, iż wcale zdrowiu ludzi lub zwierząt zaszkodzić nie może. Pomimo to ustanowiono bardzo ścisły nadzór na stacyach rzecznych, a chemicy w różnych punktach rzeki ciągle poddają wodę analizie.

Heroizm dozorcy kolejowego. Dzienniki francuskie opowiadają: dozorca baryery kolejowej przy Rive de Gier, nazwiskiem Plantier, pełniąc w tych dniach swą służbę, spostrzegł, że zbliża się w to miejsce w całym pędzie lokomotywa, której ze stacyi nie sygnalizowano. Pospieszył więc, ażeby pozamykać z obu stron kolei baryery, lecz kiedy zamknąwszy już jednę chciał się dostać na drugą stronę toru, pochwycony został przez maszynę i powalony na ziemię, a koła odcięły mu lewą rękę w ramieniu. Pomimo okropnych cierpień pamiętał Plantier o tem, że właśnie droga potrzebowała najściślejszego dozoru, ponieważ miały nadejść różne pociągi, i że gdyby zszedł z swego stanowiska, zdarzyć by się mogło okropne nieszczęście. Nie zastanawiając się więc dłużej nad swem położeniem, dzielny ten człowiek na prędce przewiązał okropnę ranę jakąś szmatą i stanął przy baryerze. Tymczasem już się była rozeszła wiadomość o jego nieszczęściu i przybiegł naczelnik pobliskiego dworca z pomocą. Znalazł Plantiera stojącego w kałuży krwi przy baryerze, od której odstąpił dopiero na wezwanie przełożonego. Dzienniki paryskie domagają się od rządu, ażeby pierś tego prawdziwego bohatera ozdobił krzyżem legii honorowej.

W sprawie moralności publicznej. Wychodząca w Lipsku „Latarnia niemiecka“ (Deutsche Reichslaterne), pomieściła artykuł o moralności publicznej w Niemczech, pióra Ernesta Echsteina. Brzmi on tak:

„Najlepszą miarą moralności każdego narodu, jest jego zachowanie się względem występującego na widok publiczny bezwstydu. Pod tym względem od czasu wojny niemiecko-francuskiej, dokazaliśmy rzeczy kolosalnych. Nie ma obecnie w Niemczech żadnego miasta średniej wielkości, które by pod pięknie brzmiącą nazwą jakiego Alkazaru, jakiejś sali koncertowej, jakiego Tivoli, nie miało swoich miejsc naśladujących francuskie „cafés chantants“ a przez lud „tingel-tangel“ nazywanych. Jeżeli paryskie „café-chantant“ było lekkomyślne, to niemieckie „tingel-tangel“ jest wręcz nieprzyzwoite i ordynaryjnie bezwstydne. Francuz jeszcze umiał z wrodzonym sobie wdziękiem łagodzić to, co niemiecka rubaszność w nagi obróciła cynizm!“

Oto w jaki sposób jeden z najulubieńszych feljetonistów niemieckich ocenia moralność swoich ziomków.

W tym kulcie nieprzyzwoitości, przoduje naturalnie Berlin. Ażeby przekonać się do jakiego stopnia się tam rozwinął, potrzeba przejrzeć dzienniki wychodzące w tej stolicy państwa bojaźni bożej i dobrych obyczajów“.

W lipcu r. b. w kilku dziennikach, znajdowało się następujące ogłoszenie:

„Biała róża błękitne wstążki!

Towarzystwo młodych dziewcząt pragnie bez długich zachodów zaznajomić się z realnie myślącymi młodzieńcami i mieć przez to sposobność do zawiązania poważnych stosunków. Myślącym odpowiednio panom, którzy swój zamiar objawią zapięciem przy tużurku białej róży, dadzą się interesantki poznać, błękitnemi wstążkami przypiętemi na piersi pod lewem ramieniem, w bawaryi „Gratweil w Hasenhide“ we czwartek 12 b. m“.

„Berliner Tagblatt“ dodaje, że w tym dniu w wymienionym zakładzie, było 10,000 gości.

„Kronika Rodzinna“, z której te szczegóły o niemieckiej moralności czerpiemy, zwraca uwagę, że poziom moralności publicznej i u nas coraz bardziej obniżać się zaczyna.

Samobójstwa mnożą się nie na żarty. Ludzie się zabijają z miłości, dla braku pieniędzy, z nudów. Bywają jednak i inne przyczyny.

Pewnego np. razu gdy uratowano od śmierci wisielca i następnie przed sądem postawiono, zapytał go urzędnik sądowy:

— Powiedz mi otwarcie, co cię skłoniło do powieszenia się?

— Panie sędzio — to było nie do wytrzymania. W ostatnich czasach tak się czułem źle, że ani leżeć, ani chodzić, ani siedzieć nie mogłem, — nic mi przeto nie pozostawało więcej, jak powiesić się!

Samobójstwo ze zbytku szczęścia!...

Wczorajsze dzienniki wiedeńskie przynoszą wiadomość, że we wsi czeskiej Jakbeniec dwoje niedawno zaślubionych małżonków odebrało sobie życie przez utopienie w stawie.

Zarządzone natychmiast środki ratunku nie osiągnęły celu, znaleziono tylko dwa trupy związane ze sobą jedwabną wstęgą i wieńcem z róż. Przed śmiercią młodzi małżonkowie napisali list do rodziców oświadczając, że samobójstwo spełniają „z miłości i przywiązania“.

Czy spokrewniony jesteś z oskarżonym przez ciebie? — zapytał sędzia gminny wieśniaka, który wniósł skargę na swego sąsiada.

— Bardzo z daleka — ojciec jego miał zamiar żenić się z moją matką, ale się to jakoś rozchwiało.

Bodajto „szyk“ warszawski!

Ona była kuchareczką — a on stróżem domu.

Poznali się, pokochali, przeszkód żadnych, więc i weselisko gotowe.

Wtem... przed samym ślubem wywiązuje się nieporozumienie.

Panna młoda nie chce na dorożce poprzestać i żąda do ślubu... karety!

Próżno pan młody przekłada kieszeni swej niedostatek, panna młoda łzy leje a karetę mieć musi.

I stało się... pan młody uległ.

W niedzielę przed kościołem na Koszykach zatrzymała się elegancka kareta.

Wysiedli z niej stróż i kuchareczka.

Raz w życiu — byle karetą!

Rozmowa dwóch dziennikarzy:

— O której wychodzicie?

— Zwykle koło czwartej.

— No to ja, daję ci słowo honoru, że punkt o trzeciej już jestem pod prasą.

— Winszuję, ale ja za to o piątej wychodzę z pod prasy zupełnie.

— Wielkie rzeczy! ciebie biją wszystkiego trzy tysiące, a mnie około sześciu.

— A kiedyż zaczynają cię składać?

— O siódmej.

— Spóźniłeś się wczoraj, ładny porządek.

— To już nie moja wina, wyobraź sobie rozsypałem się i ledwie że w nocy mogłem wyjść na miasto, ale na pocztę jużem się nie zdążył wyekspedyować.

---

47 rocznica listopadowego powstania była w tym roku jak i w latach poprzednich uroczyście obchodzoną tak w całej Polsce jak i za granicą, gdziekolwiek garstka Polaków zebrać się mogła. Obecnie z powodu wypadków wschodnich żywiej sobie przypomniano tę wielką chwilę w dziejach naszych i goręcej się łączoo w bratnie grona.

Otrzymujemy wiadomość, że na zgromadzeniu Polaków w Paryżu w Czytelni Polskiej przemawiali Wincenty Mazurkiewicz b. członek Centralizacyi Towarzystwa Demokratycznego, Siwiński b. członek Rządu Narodowego z r. 1863 i inni. Przemówienie p. Siwińskiego zentuzyazmowało słuchaczy. Treścią mowy było przypomnienie przyczyn upadku Polski.

Od Redakcyi.

Zapowiedziane prospektem dla Szan. Prenum. Tygodnia 200 dzieł do wylosowania nie może przyjść do skutku z powodu iż rząd jak się dowiadujemy uważałby tę sprawę jako loteryę, a loterya w Austryi jest monopolem rządowym. W zamian za to rozeszlemy prenumeratorom pierwszy tomik „Spiewnika polskiego“, który postępuje do druku, a który sądzimy będzie miłym gościem w każdym domu polskim.

Prenumeratorom „Tygodnia“ zawsze przysługuje prawo nabywania za połowę ceny następujących dzieł:

Karola Darwina, Pochodzenie człowieka i dobór płciowy, wydanie illustrowane w 3 tomach, cena 12 złr. dla pren. 6 złr.

Reveillé-Paris, Starość, podręcznik lekarski. Cena 4 złr. dla pren. 2 złr.

Wundt, Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej 2 tomy. Cena 9 złr. dla pren. 4 złr.

Treść Nr. 15.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.